

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI Gorzów n/W., niedziela 8 lipca 1951 r. Nr 24

Ks. Dr M. Rzeszewski

O stan zrównoważenia

Większość ludzi przeżywa raz po raz konflikty psychiczne. Przeżywają je w latach młodości, gdy jawią się nowe idee i uczucia, przeżywają je i później, dostosowując się do życia i świata. Główne źródło konfliktów leży w woli kontrolowania i kierowania instynktami. W psychice ludzkiej działają nieustannie potężne siły instynktowne, żądając swego wyrażenia i zaspokojenia, które jest tylko w pewnym stopniu możliwe. Gdyby instynkty miały odgrywać pełną rolę, byłyby destrukcyjne, zarówno dla jednostki, jak i dla społeczeństwa. Stąd jedną z głównych konieczności zrównoważonej psychiki jest samokontrola, bez której człowiek staje się lupem własnych uczuć.

Pod tym właśnie względem wielu młodych ludzi nie potrafi osiągnąć równowagi. Ich życie uczuciowe pozostaje dziecinne. Dają upust gniewowi i innym namiętnościom; gwałtownie reagują wobec ograniczeń lub udaremnień w świecie zewnętrznym i pozwalają swym uczuciom na opanowanie zdrowego rozsądku. Nie są nigdy dojrzały uczuciowo. Jest rzeczą zdumiewającą, jak wielu dorosłych ludzi nie wyrasta z młodościowej nieśmiałości.

Innym źródłem konfliktu, pozostającego w pewnym stopniu przez całe życie jest trudność osiągnięcia poziomu postępowania wymaganego przez nasz ideał. Niektórzy rozwiązują ten konflikt w ten sposób, że z wiekiem obniżają swój ideał i są ze siebie zadowoleni. Jednym z największych niebezpieczeństw wieku średniego, jest-paralizujący wpływ tego właśnie przyjemnego zadowolenia ze siebie. Osiąga się w tych warunkach pewien pokój, lecz jest to raczej pokój śmierci, niż pokój zwycięstwa i życia.

Sw. Paweł daje graficzne ujęcie tego konfliktu: „Bo nie czynię dobrego, które chcę, ale złe, którego nie chcę, co czynię”. Obok szukania słusznego ideału i poziomu duchowego, konflikt może wywołać postawienie celu, którego nie potrafi się osiągnąć. Niektórzy mają fałszywe cele i fałszywe miary. Jest bezużyteczne dla człowieka nie mającego wycucia muzycznego, marnować czas i pieniądze na naukę muzyki, tak jak jest niedorzecznością, gdy ktoś bez daru malarskiego jest stale przygnębiony, że nie umie malować.

Człowiek zrównoważony umie być zadowolonym ze swego stanu. Nie znaczy to, że można założyć ręce i zaniechać walki życiowej, ale że nieuniknione należy przyjmować z dobrą miną. Niektórzy nie potrafią nigdy dobrze przegrać i nie są nigdy zadowoleni, jeżeli zawsze nie wygrywają. Stąd wobec przeciwności popadają w depresję.

Człowiek zrównoważony nie wynosi się z powodzenia, ani nie upada w niepowodzeniu. Nie znaczy to, że ma być stoikiem w swym poglądzie na świat i że ma tłumić wszystkie uczucia. Jest to postępowanie niebezpieczne i może wcześniej czy później wywołać eksplozję. Istnieje złoty środek między obojętnością, a nadwrażliwością wobec alarmujących wydarzeń życia.

Dużą rolę odgrywa usposobienie wrodzone. Niektórzy rodzą się zrównoważeni, nie zapadają nigdy w odmęty, a rzadko wznoszą się na szczyty. Idą drogą równą i ze spokojem budzącym zazdrość wśród bardziej uczuciowych bliznich. Inni mają temperament jak ręk, opadający lub wznoszący się z każdą zmianą w otoczeniu; łatwo wpadają w gniew, zniechęcają się lub entuzjasmują. Dla takich życie jest trudniejsze, a kontrolowanie życia uczuciowego sprawia im niemałe trudności.

Inni nie potrafią stworzyć równowagi między pierwiastkiem duchowym i materialnym. Ciało i duch ma swe wymagania, i żadna strona naszej natury nie może być pielęgnowana kosztem drugiej. Musimy żyć w świecie materialnym, ale ciało jest tylko częścią naszej istoty, tak jak częścią jest duch. Ktoś może tak wysoko dążyć swe życie intelektualne, że w szczegółach życia praktycznego niewiele z niego pożytku, lub jak ktoś powiedział może być „tak duchowo myślący, że pożytku ziemskiego z niego nie ma”. Głową tak wysoko sięga chmur, że nie widzi dokąd idzie stopami. Z drugiej strony ktoś tak ściś w głębi materialnym, że jego sprawy



MATKO ODKUPICIELA

ducha pozostawione są na tylnym planie. Prawdą jest, że nie samym chlebem człowiek żyje, ale potrzebuje chleba dla życia. Prawdą jest także, że żyje wszelkim słowem Bożym. Z Listów Apostolskich widać, że we wczesnych latach Kościoła powstały na tym tle błędy. Jedni głosili ascetyzm degradujący (stopniowo obniżający) ciało, a inni życie zmysłowe, degradujący ducha. Nauka chrześcijańska jest pod tym względem doskonale zrównoważona.

Błędem jest twierdzić, że prawdziwa religijność wpływa zakłócająco na psychikę. Poważni psychiatrzy katolicyści stwierdzają,

że religijność jest czynnikiem stabilizacji w życiu psychicznym. Trzeba uważać, że Stwórca ludzkiej natury zna ją wszechstronnie. Jeśli ukazał w Objawieniu drogę życia, to pójście po niej musi gwarantować zdrowie ciała i ducha.

Psychika zrównoważona jest psychiką zdrową. Znalazła sposób dostosowania się do życia ziemskiego i do tego boskiego środowiska, w którym żyje i porusza się.

Jeśli wola nasza jest słaba, wola Chrystusa w nas może uczynić nas silnymi. Ktoś pięknie powiedział: „Jeśli ja chce, Bóg

może; jeśli Bóg chce, ja mogę”. Jeśli nasze życie instynktowe i uczuciowe jest trudne do kontroli, i czujemy się miotani na wszystkie strony przez impulsy i uczucia, droga pokoju i zwycięstwa idzie przez bezwarunkowe oddanie się Chrystusowi. Chrystus, mieszkający w nas przez wiarę i przez łaskę, żyje w naszym rdzeniu naszego jestestwa i możemy osiągnąć równowagę, która bez Niego byłaby niemożliwa. Życie egocentryczne (dla siebie) jest zawsze życiem nie zrównoważonym. Równowaga przychodzi wówczas, gdy życie staje się teocentryczne czyli zwrócone ku Bogu.

Ostatnia modlitwa Apostoła Słowian

Dnia 14 lutego 869 r. w klasztorze św. Praksedy w Rzymie umierał św. Cyryl — Apostoł Słowian; ten, który kładł podwaliny pod literaturę i kulturę słowiańską.

Z wielkiej rodziny ludów słowiańskich Wielkomorawianie ukazują się najczęściej na widowni dziejowej jako zorganizowane państwo wielkomorawskie. Wiara Chrystusowa dochodziła tam z sąsiadujących Niemiec. Jednak książę Rostisław obawiał się wpływów politycznych i dlatego w 863 roku zwrócił się do cesarza wschodniego Michała III z prośbą o misjonarzy. Cesarz wybrał dwóch braci Konstantego i Metodego, którzy mieli już za sobą dwie wyprawy misyjne, znali zwyczaje i język starosłowiański. Konstanty zwany filozofem wynalazł alfabet słowiański. Przed wyjazdem z Konstantynopola uzyskał zatwierdzenie tego alfabetu i zezwolenie na tłumaczenie Pisma świętego i ksiąg liturgicznych bizantyjskich na język słowiański.

Na Wielkie Morawy przybył Konstanty z gotowym, szeroko zakrojonym planem działania. Chciał on tu utworzyć nową kulturę — pośrednią między bizantyjską — wschodnią a rzymską — zachodnią, pragnął rzucić pomost. Do dzieła zabrał się umiejętnie. Wciągał do pracy misyjnej ludzi miejscowych, działał przez liturgię słowiańską. Jego praca przynosiła obfity plon.

Na to niechętnie patrzyli skrajni zwolennicy liturgii zachodniej, głosili, że tych tylko języków można używać przy spełnianiu świętych obrzędów, których użyto do wypisania napisu nad głową umierającego Zbawiciela, a więc łaciny, greki i hebrajskiego. Ponadto i książę miał swoje plany; chodziło mu o to, aby mieć własnego biskupa.

Dlatego Konstanty z bratem swym i gromadą wychowanych już Wielkomorawian przybył do Rzymu. Papież ówczesny przyjął go bardzo życzliwie, zatwierdził liturgię w języku słowiańskim, udzielił Konstantemu sakry biskupiej, a jego bratu i niektórym zdolniejszym młodzieńcom wielkomorawskim święceń kapłańskich. W Rzymie Konstanty zatrzymał się dłużej czasu, pragnąc w stolicy chrześcijaństwa jak najlepiej przygotować rodzinny kler do pracy w swej ojczyźnie.

Na Boże Narodzenie 868 roku zachorował, zrezygnował z godności biskupiej, wstąpił do klasztoru i przyjął imię zakonne Cyryla, z którym też przeszedł do historii. 14 lutego, następnego roku, czując zbliżającą się śmierć wezwał swoich do łóża boleści. Metodego zobowiązał uroczystie, aby wrócił na Morawy i prowadził nadal zaczęte dzieło. Odchodząc z tego świata św. Cyryl modlił się za swój lud. Cudna to modlitwa przypominająca swym zarem modlitwę arcyka-

plańskiego naszego Pana w wieczniku. Oto jest tekst w tłumaczeniu polskim:

„Panie, Boże mój, który stworzyłeś wszystkie chóry anielskie i moce duchowe; który rozciągnął niebiosa, ufundowałeś ziemię i z nicości wywiodłeś wszystko, co jest. O Ty, który wysłuchujesz wszystkich, któ-

rzy czynią Twą wolę, boją się Ciebie i przestrzegają Twoich przykazań, wysłuchaj mej prośby i zachowaj Twój wierny lud, na którego czele postawić raczyłeś mnie nieudolnego i niegodnego sługę; wyzwól go od pogańskiej złości tych, którzy Ci bluźnią; zniszcz herezję trzech języków; daj wspa-

(Dokończenie na str. 215)

Ż R Ó D Ł A W I A R Y

Chrystus Pan przyszedł na świat nauczyć ludzi prawd potrzebnych do zbawienia i ustanowić środki umożliwiające osiągnięcie szczęśliwej wieczności. Pan Jezus też zdawał sobie sprawę z trudności jakie mogłyby zniszczyć Jego dzieło odkupienia. Ustanowił dlatego Kościół św. i złożył w jego ręce pełnię prawd objawionych, przykazując Mu podawać je z pokolenia w pokolenie w sposób nieskażony i ciągły. Kościół do dziś dnia spełnia zadanie poruczone przez Chrystusa. Nieustannie naucza ludzi o Bogu, sprawuje funkcje kapłańskie i państwskie.

Nauczanie może mieć różne formy. Część prawd została pod natchnieniem Ducha św. spisana przez apostołów lub ich uczniów. Inna część rozeszła się przez ustne podanie. Zatem prawdy wiary zawarte są w Piśmie św. i tradycji. Pismo św. i tradycja to dwa źródła wiary, z których Kościół św. czerpie swoją naukę.

Pismo św. Co to jest? To zbiór ksiąg świętych napisanych pod natchnieniem Ducha św. a przez Kościół katolicki uznanych za Słowo Boże.

Do Pisma św. zaliczamy 72 księgi: 45 Starego i 27 Nowego Testamentu.

Już z końcem II wieku istniał spis owych ksiąg uznanych przez Kościół za Słowo Boże.

I. STARY TESTAMENT

Zadajmy sobie trud i zastanówmy się najpierw nad księgami Starego Testamentu. Dzieli się one na 21 ksiąg historycznych, 7 nauczających, 17 proroczych.

Księgi historyczne opowiadają o dziejach stworzenia świata, o życiu patriarchów, o losach wybranego narodu. Do ksiąg tych zaliczamy: Pięcioksiąg Mojżesza, Księgi Jozuego, Sędziów, cztery Księgi Królewskie, Księgę Rut, dwie Księgi Kto-

nik, Księgi Ezdrasza, Nehemiasza, Tobiasza, Judyty, Estery i Księgi Machabejskie, przedstawiające cierpienia i zwycięstwa ludu Izraelskiego pod wodzą Judy Machabejczyka i jego braci, za czasów panowania syryjskiego.

Zupełnie inny charakter mają księgi nauczające. Do nich należą księgi zawierające w sobie pieśni religijne czyli Psalmi, przysłówia, złote myśli i zasady moralnego życia. Są to: Księgi Joba, Psalmów, Przypowieści, Eklezjastes czyli Kaznodziei, Pieśni nad pieśniami, Mądrości i księga Syracha czyli Eklezjastyka.

Do ksiąg proroczych, które mieszczą w sobie przepowiednie odnośnie narodu Izraelskiego a przede wszystkim osoby Chrystusa Pana, obecnego Mesjasza, zaliczamy następujące: Izajasza, Jeremiasza z Baruchem, Ezechiela, Daniela, nadto Ozeasza, Joela, Amosa, Abidiasza, Jonasza, Micheasza, Nahuma, Habakuka, Sofoliasza, Aggeusza, Zachariasza i Malachiasza.

Stary Testament miał za zadanie — przygotować ludzkość na przyjście Zbawiciela świata. Kto zatem miał sposobność z uwagą przeczytać te księgi łatwo może zauważyć jak wszystkie linie działania i objawienia ogniskują się na Jezusie Chrystusie. Gdybyśmy Jezusa wyłaczyli, wiele rzeczy w Piśmie św. nie dało by się wytłumaczyć. Już w pierwszych liniach Pisma św. słyszymy niejako o Chrystusie Odnawicielu oblicza ziemi, który dzięki Niepokalanej Dziewicy położy nieprzyjaźń pomiędzy Nią a szatanem i zmaże grzech Ewy. Stary Testament w rozumieniu dzieła Odkupienia spełnia rolę bardzo ważną. Życzyć tylko należałoby, aby katolicy czytali go z dobrym komentarzem.

Jak zostać dobrym włodarzem Bożym?

„Zdaj liczbę z włodarstwa twego, cję, wytyczne zarządzenia swą własnością, Bóg — nasz Pan dał nam taką instrukcję, objawił swą wolę, dał wytyczne. Krótka jest to instrukcja ujęta w formę dziesięciu przykazań Bożych. Tę wolę Bożą mamy coraz lepiej poznawać, nie poprzestawać tylko na znajomości słów dziesięciu przykazań, ale wnikać coraz głębiej w myśl przewodnią. Przykazania Boże to nie jakieś nieznosne więzy krępujące swobodę ruchów — to drogowskazy do nieba. Poznawać je coraz lepiej, a nie zboczyć się z właściwej drogi, nie zejść się na manowce.

bo już nie będziesz mógł włodarzyć”. Łk 16, 2. Te słowa zaniepokoiły i przstraszyły niesprawiedliwego włodarza. Jak tu zdać sprawę z włodarstwa, wyliczyć się, kiedy były liczne i wielkie nadużycia? Trzeba będzie za nie odpowiedzieć, może nawet utratą wolności, więzieniem, czy życiem. Inaczej jest z dobrym włodarzem. Tego nie przeraża słowa: „Zdaj liczbę z włodarstwa!”, a on nie lęka się rozrachunku, wszystko bowiem jest w należyty porządku.

Dla naszej nauki i dla naszego dobra powiedział Pan Jezus tę przypowieść. Każdy bowiem z nas jest włodarzem, zarządcą wielkich dóbr Bożych. Dla każdego przyjdzie rok, miesiąc, dzień, godzina, w której usłyszysz słowa: „Zdaj liczbę z włodarstwa twego, bo już nie będziesz mógł włodarzyć”. Skończy się czas, zacznie się wieczność. Ten dzień rozrachunku nie powinien nas zaskoczyć nieprzygotowanych. A nie zaskoczy i nie przerazi nas, jeżeli będziemy dobrymi włodarzami. Jak tedy zostać dobrym włodarzem powierzonych dóbr Bożych?

Pierwszym podstawowym warunkiem dobrego włodarza jest uświadomienie sobie i przejęcie się do głębi prawdą, że jest się tylko włodarzem, a nie właścicielem.

Bóg wszechmocny z nicości wywiódł wszystko, powołał do bytu i stąd wszystko bez wyjątku jest Jego własnością. „Pańska jest ziemia — mówi pięknie psalm 23 — i wszystko, co ją napęlnia, okrąg ziemi i wszyscy mieszkający na niej”. Tę ziemię oddał Bóg ludziom w zarząd. „Napęlniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną” — powiedział Stwórca do człowieka na samym progu historii ludzkości, ale zawsze i po wszystkie czasy pozostaje właścicielem wszechświata i wszystkich jego elementów składowych.

Tymczasem człowiek — włodarz chce być właścicielem ziemi, jej dóbr i wytworów swej pracy. Uważa, że może z tymi dobrami robić, co mu się tylko podoba. I tak np. niszczy się olbrzymie ilości kawy czy zboża dla utrzymania ceny, a w innych krajach świata ludzie giną z głodu. Nie tylko ziemia i jej bogactwa, ale nawet nasze ciało, jego narządy, dusza i jej władze, zdolności — to własność Boża, oddana nam w zarząd. My tylko włodarzami, a nie panami, nie właścicielami.

Dobry włodarz nie tylko pamięta, że jest włodarzem u właściciela, ale i w czasie włodarzenia kieruje się wolą pana. Właściciel daje mu instruk-

Jesteśmy włodarzami, zarządcami wielkich dóbr Bożych. Mamy znać wolę Bożą i według Niej włodarzyć. Nadejdzie kiedyś koniec włodarstwa i dzień rozliczenia. Pomyślmy, że dziś w tej chwili Pan zwraca się do nas ze słowami: „Zdaj liczbę z włodarstwa twego”. Odpowiedzmy sobie sami, co nas na takie słowa najbardziej przeraża. Przebiegnijmy myślą najważniejsze dobra: oczy, uszy, język, zdrowie, zdolności, umysł, pieniądze, stanowisko, czas, łaski i natchnienia do dobrego, jednym słowem wszystkie przeliczne dobra Boże i zastanówmy się, w jakiej dziedzinie nie zachowaliśmy instrukcji Bożej. Takie zastanowienie się zrobi nam bardzo dobrze. To nas ustrzeże od losu zgotowanego niesprawiedliwemu włodarzowi. W ten sposób staniemy się dobrymi włodarzami wielkich dóbr Bożych.

Znać instrukcję to jeszcze nie wszystko. Najważniejszą sprawą — zachować ją. „A ów sługa, który poznał wolę pana, a nie przygotował i nie uczynił wedle woli jego, wielką chłostę otrzyma” (Łk 12, 47) — powiedział na innym miejscu nasz Zbawiciel.

EWANGELIA

NA ÓSMĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Sv. Łukasz 16, 1—9)

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim tę przypowieść: Był człowiek pewien bogaty, który miał włodarza, a tego zniesławiono przed nim, jakoby trwonili dobra jego. I przywoławszy go, rzekł mu: Cóż to słyszę o tobie? Zdaj sprawę z włodarstwa twego, już bowiem nie będziesz mógł włodarzyć. I mówił włodarz do siebie: Co ja pocnę, gdy pan mój odejmie mi włodarstwo? Kopać nie mogę, żebrać się wstydzę. Wiem, co uczynię, aby gdy będę złożony z włodarstwa, przyjęli mnie do domów swoich. Zwoławszy tedy z osobna dłużników pana swego, powiedział pierwszemu: Ile jesteś winien panu memu? A on rzekł: Sto barył oliwy. I powiedział doń: Weź zapłs swój i siadź natychmiast, a napisz pięćdziesiąt. Potem rzekł do drugiego: A ty ileś winien? A on odpowiedział: Sto korców pszenicy. I rzekł mu: Weź zapłs twój, a napisz osiemdziesiąt. I pochwalił pan przewrotnego włodarza, że roztropnie uczynił. Albowiem synowie tego świata roztrośniejsi są wśród podobnych sobie niż synowie światłości. I ja wam powiadam: Czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby gdy pomrzecie, przyjęli was do wiecznych przybytków.

LEKCJA

NA ÓSMĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

(Do Rzymian 8, 12—17)

Bracia, nie ciała dłużnikami jesteśmy, abyśmy według ciała żyć mieli. Jeśli bowiem według ciała żyć będziecie, pomrzecie; ale jeśli duchem sprawy ciała umartwicie, żyć będziecie. Którychkolwiek bowiem ożywia duch Boży, ci są synami Bożymi. Bo nie otrzymaliście ducha niewoli znów ku bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów i w duchu tym wołamy: Abba (Ojciec)! A sam duch daje świadectwo duchowi naszemu, żeśmy synami Bożymi. A jeśli synami, to i dziedzicami Bożymi a współdziedzicami Chrystusa.

Złote myśli

„Wielkość chrześcijaństwa polega na tym, że miłość jest w nim nie zaletą, radą, wezwaniem, lecz kategorycznym nakazem. *Ame et fac quod vis*. Nie ma to być jakaś miłość teoretyczna, oderwana, nieuchwytna, lecz przypięta do ziemi, konkretna, zależna od każdorazowych okoliczności, codzienna, nieustanna. Jest codziennym naszym obowiązkiem, ma zmienić *całą naszą naturę, podnieść ją, przekształcić*. Tylko chrześcijaństwo w pełni buduje na miłości. Tylko ono wszystko miłości podporządkowuje. Jedno Kazanie na Górze wystarczy, by ze wszystkich religii przyjąć tę *właściwość*. I tylko Chrystus — nie tyle cudami, ile *życiem słwym i nauką* — wykazał, gdzie trzeba szukać źródła *tycia*.”

Antoni Gołubiew

(z pracy „Dlaczego jestem katolikiem”)

OSTATNIA MODLITWA APOSTOŁA SŁOWIAN

(Dokończenie ze str. 214)

niały wzrost swemu Kościołowi. Zgromadź wszystkich w jednej prawdziwej wierze i we właściwym jej wyznawaniu. Wlej w ich serca ducha Twego dziecięstwa. Twoim to darem jest to, co Ci jest miłe. Tych, których mi dałeś, oddaję Ci jako Twą własność. Potężną swą prawicą rządz nimi i zachowaj ich w cieniu swych skrzydeł, aby wszyscy wychwalali i sławili Imię Twoje — Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

My w dniu św. Apostołów Słowiańszczyzny z wdzięcznością winniśmy wspominać ich dzieło i pobożną modlitwę w intencji ludów słowiańskich zanosić do Boga.

Ks. Musiel Fr.

PORTRET JEZUSA

Teraz czas już zapewne pokusić się o nakreślenie bardziej jednolitego obrazu Tego, którego jak dotąd oglądaliśmy jedynie poprzez świadectwo Jego uczynków. Co prawda ta doskonała zgodność, jaka zachodzi pomiędzy posłannictwem, życiem i charakterem Jezusa, pozwala nam poznać Go, nie uciekając się do długich definicji, jedna karta Ewangelii ukazuje Go nam całego i pełnego. Prości, pozbawieni kultury ludzie piszący święte teksty osiągały ze zdumiewającą łatwością cel, ku któremu zdążają z takim trudem najzreźniejsi powieściopisarze: umiemy nam dać wrażenie prawdy. W najmnijszym z epizodów, gdzie ukazuje się postać Jezusa, jest On najprawdziwiej żywy, jest ponad wszelką wątpliwość obecny. Ta sugestynność wyda nam się jeszcze bardziej zdumiewająca, gdy uprzytomnimy sobie, że Ewangelie powstały na podstawie różnorodnych tradycji i że od opisywanych faktów były oddzielone epoką lat kilkudziesięciu. Równie zastanawiająca wyda się ta jednolitość rysów Jezusa, jaką spotykamy we wszystkich trzech świadectwach. Na to, aby ci tak młodzi sobą różni pisarze mogli nakreślić obraz tak wyrazisty, model musiał się narzucać z siłą przemożną.

A jednak usiłujemy zestawić wszystkie rysy rozsiane po całej Ewangelii, zebrać wszystko, czego możemy się dowiedzieć o uczuciach, charakterze, usposobieniu Jezusa, w rezultacie czeka nas olbrzymie rozczarowanie. W życiu ludzi genialnych i świętych jest coś, co wymyka się wszelkim definicjom, wszelkiej analizie: jest to właśnie geniusz i świętość. W Jezusie, który jest czymś o wiele więcej niż świętym i więcej niż geniuszem, tą zasadniczą tajemnicą jest Bóstwo: i tym tłumaczy się zupełna bezsilność obserwacji „psychologicznych”, zupełna bezsilność słów. I tu staje się zrozumiałym wykrzyknik Fra Angeli: „Kto chce malować Chrystusa, musi żyć z Chrystusem”. I nie znaczy to tylko — jak chciał powiedzieć najbardziej święty pośród artystów — że poczucie własnej niegodności wytrąca z ręki paletę i pendzel temu, kto chce oddać samą doskonałość, ale przede wszystkim to, że właśnie pisarzowi i malarzowi metody pracy okazują się tu niewspółmierne. U krańców analizy napotykały na zastępy tajemnicy, a wobec nich nie ma już mowy o badaniu i o mówieniu: można tylko milczeć i adorować.

„Prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek” — te słowa modlitwy oddają całą nadprzyrodzoną trudność przedsięwzięcia. Jezus, człowiek podobny do każdego z nas, może być przedmiotem badań psychologicznych, ale z chwilą gdy chcemy utrwalić jakiś rys Jego postaci, aby ten rys stał się zrozumiałym, musimy uwzględnić niewysłowioną łączność tego rysu z drugą częścią Jego natury, która wymyka się spod naszego zrozumienia. Już to samo, że takie wyrażenie jak „Syn Człowieczy”, może równocześnie być rozumiane jako definicja zwykłego człowieka, człowieka śmiertelnego, podobnego do nas, zrodzonego z niewiasty, uczynionego z naszego ciała — a także jako wyraz wyrazistości nadprzyrodzonej, w której kryje się megalicka tajemnica Boga żywego — dostatecznie nam wyjaśnia, na jakie rafa i podwodne skały możemy tu natrafić. W chwili Przemienienia trzej apostołowie rażeni zdumieniem zakrywają sobie twarze; zaledwie ośmielają się rozpoznać swego

Przyjaciela w owej wspaniałej istocie; w podobnym położeniu, choć w sposób skromniejszy, znajduje się każdy, kto porzuca się na odmalowanie Jezusa; wcielony Bóg przyświecający poprzez człowieka raz i jego olśnione oczy.

Nie może więc być mowy o usiłowaniu odmalowania Jezusa integralnego, ponieważ jedna część Jego istoty nieodłączna od drugiej zupełnie się nam wymyka. Będziemy się więc starali ustalić Jego rysy człowiecze, ograniczając się do tego, by usiłować zbadać, co On sam w swej ludzkiej świadomości sądził o własnym Bóstwie. Ale już i wysiłek uchwycenia w Nim stosunku istoty Boskiej do istoty ludzkiej jest przedsięwzięciem prawie że niemożliwym; kilka rzadkich wskazań, parę zaledwie naszkicowanych rysów nie zaprowadzi nas daleko po tej ciemnej drodze. Bo gdyby ona była dla nas dostępna, wcielenie przestałoby być tajemnicą, a tajemnica Trójcy Świętej stałaby się jawna.

Do tych trudności, z których wiele jest w ogóle nie do przezwyciężenia, dołączy się jeszcze trudność następująca: Ewangelia nie jest traktatem psychologicznym, tak samo jak nie jest — w technicznym tego słowa znaczeniu — historią. Święty Mateusz, święty Marek, święty Łukasz i święty Jan pisząc, mieli inne cele niż uchwycenie i przedstawienie osoby Jezusa w całej jej oryginalności: Chcieli umocnić wiarę tych, którzy ich słuchali, chcieli także uczynić przekonywującym świadect-

wo, jakie tej wierze wystawiali. Zresztą ludzie ci nie byli ani teologami, ani dialektykami. A jak nie starali się o żadne efekty w zakresie prawdopodobieństwa estetycznego, tak samo nie usiłowali uporządkować rysów i danych dotyczących Jezusa! nie wygładzali przeciwieństw i zawiloci Jego charakteru. I rzecz zdumiewająca: przez to właśnie uczynili postać Jezusa tak żywą! Czyż nie postępowali tak, jak postępuje mistrzowski powieściopisarz? Bo powieściopisarz posługuje się zarówno tym co mówi, jak i tym czego nie mówi; w swoich analizach pozostawia on tajemnicze strefy, a czytelnik przeczuwa, że tu właśnie ukryte są najistotniejsze przeżycia. Nasi ewangelici nie byli pisarzami ani zreżnymi, ani wytrawnymi, a jednak może się wydawać, że oni także posługiwali się tymi właśnie przemilczeniami, tą tajemniczą ciszą, którą należy uszanować. Gdy chcemy zbyt tłumaczyć, zbyt porządkować, zamieniamy wspaniały obraz zawarty w Ewangelii w schematyczny i martwy rysunek, podobny do owych gipsowych figur, które szpecą tyle naszych kościołów. Nawet ludzki bóg utkany jest z przemieszania konkretnej obecności i tajemnicy, nieodłącznie z sobą splecionych, o ile bardziej odnosi się to do tego, w którym zawiła gra światła i cienia oznacza tę rzecz przedziwną: stosunek Stworzyciela do człowieka stworzonego.

„(Dzieje Chrystusa” Daniela Ropsa.)

Błogosławiony Pius X jako Biskup Mantui

„Tu i ówdzie można napotkać coś pocieszającego, ale na ogół widzi się rzeczy przynębiające” — pisał Mgr Sarto (przyszły papież i błogosławiony Pius X) w liście do jednego ze swych przyjaciół, po dokonaniu pierwszej wizytacji duszpasterskiej w świeżo objętej przez siebie diecezji. Diecezja mantuńska znajdowała się w warunkach zatrważających, gdy w kwietniu 1884 roku Mgr Józef Sarto przejął jej zarząd: ubóstwo i rozdział wśród duchowieństwa na skutek niedawnych wypadków politycznych, które oderwały Lombardię (półn. część Włoch) i Wenecję od Austrii, by przyłączyć je do młodego królestwa Italii; brak powołań kapłańskich, upadek wiary wśród wiernych z powodu braku dobrych kapłanów oraz szerzących się błędów starego liberalizmu i kielkującego radykalizmu. Obok duchownych niegodnych tego stanu, byli wprawdzie i kapłani wzorowi, lecz przeciążeni pracą, niedość liczni by sprostać obowiązkowi służby Bożej, by przezwyciężyć ogólną obojętność lub niechęć, które tak bardzo utrudniały pracę apostołską w społeczeństwie rządzonej przez wszechwładną wówczas masonerię.

* * *

Seminarium duchowne w Mantui zamknięte było od lat dziesięciu. W dwa miesiące po objęciu władzy biskupiej, Mgr Sar-

to przystąpił do pierwszych święceń kapłańskich: jednego zaledwie kapłana i jednego diakona. „To są te jedyne owoce, jakie mi przyniosło moje „Seminarium w tym roku. Co za bieda, jakże serce się ścisła, bo wszak potrzebnych mi jest co najmniej 40 kapłanów”. Nie tracąc ufnosci, nowy biskup zabrał się energicznie do pracy. Niebo i ziemię poruszył by skupić w swym Seminarium odpowiednich profesorów i alumnów o prawdziwym powołaniu, a także by zapewnić mu wystarczające środki materialne. Listem pasterskim i w kazaniach zaapelował zarówno do duchowieństwa jak i do ludu, do bogatych jak i do biednych, wzywając o dary i modlitwy. Sprzedał też swe własne dwa małe pola, jakie odziedziczył, by uzyskanymi pieniędzmi zasilić fundusze Seminarium. Wjara góry przenosi. Pod koniec następnego roku Seminarium duchowne w Mantui liczyło już 147 alumnów, a datki nie przestawały napływać. Wierni zrozumieli od razu znaczenie tej instytucji, którą biskup nazywał „żrenicą swych oczu”, „sercem swego serca”, „oddechem swej duszy”.

I nie ograniczył się jedynie do odbudowy Seminarium diecezjalnego, ale śledził bacznie jego działalność dzień w dzień. Przybywał zniechęca na wykłady, przepitywał uczniów, przewodniczył przy egzaminach. Aby nakłonić kapłanów do dalszych stu-

PORTRET JEZUSA

Teraz czas już zapewne pokusić się o nakreślenie bardziej jednolitego obrazu Tego, którego jak dotąd oglądaliśmy jedynie poprzez świadectwo Jego uczynków. Co prawda ta doskonała zgodność, jaka zachodzi pomiędzy posłannictwem, życiem i charakterem Jezusa, pozwala nam poznać Go, nie uciekając się do długich definicji, jedna karta Ewangelii ukazuje Go nam całego i pełnego. Prości, pozbawieni kultury ludzie piszący święte teksty osiągały ze zdumiewającą łatwością cel, ku któremu zdążają z takim trudem najzreźniejsi powieściopisarze: umiemy nam dać wrażenie prawdy. W najmnijszym z epizodów, gdzie ukazuje się postać Jezusa, jest On najprawdziwiej żywy, jest ponad wszelką wątpliwość obecny. Ta sugestynność wyda nam się jeszcze bardziej zdumiewająca, gdy uprzytomnimy sobie, że Ewangelie powstały na podstawie różnorodnych tradycji i że od opisywanych faktów były oddzielone epoką lat kilkudziesięciu. Równie zastanawiająca wyda się ta jednolitość rysów Jezusa, jaką spotykamy we wszystkich trzech świadectwach. Na to, aby ci tak młodzi sobą różni pisarze mogli nakreślić obraz tak wyrazisty, model musiał się narzucać z siłą przemożną.

A jednak usiłujemy zestawić wszystkie rysy rozsiane po całej Ewangelii, zebrać wszystko, czego możemy się dowiedzieć o uczuciach, charakterze, usposobieniu Jezusa, w rezultacie czeka nas olbrzymie rozczarowanie. W życiu ludzi genialnych i świętych jest coś, co wymyka się wszelkim definicjom, wszelkiej analizie: jest to właśnie geniusz i świętość. W Jezusie, który jest czymś o wiele więcej niż świętym i więcej niż geniuszem, tą zasadniczą tajemnicą jest Bóstwo: i tym tłumaczy się zupełna bezsilność obserwacji „psychologicznych”, zupełna bezsilność słów. I tu staje się zrozumiałym wykrzyknik Fra Angelica: „Kto chce malować Chrystusa, musi żyć z Chrystusem”. I nie znaczy to tylko — jak chciał powiedzieć najbardziej święty pośród artystów — że poczucie własnej niegodności wytrąca z ręki paletę i pendzel temu, kto chce oddać samą doskonałość, ale przede wszystkim to, że właśnie pisarzowi i malarzowi metody pracy okazują się tu niewspółmierne. U krańców analizy napotykały na zastony tajemnicy, a wobec nich nie ma już mowy o badaniu i o mówieniu: można tylko milczeć i adorarować.

„Prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek” — te słowa modlitwy oddają całą nadprzyrodzoną trudność przedsięwzięcia. Jezus, człowiek podobny do każdego z nas, może być przedmiotem badań psychologicznych, ale z chwilą gdy chcemy utrwalic jakiś rys Jego postaci, aby ten rys stał się zrozumiałym, musimy uwzględnić niewysłowioną łączność tego rysu z drugą częścią Jego natury, która wymyka się spod naszego zrozumienia. Już to samo, że takie wyrażenie jak „Syn Człowieczy”, może równocześnie być rozumiane jako definicja zwykłego człowieka, człowieka śmiertelnego, podobnego do nas, zrodzonego z niewiasty, uczynionego z naszego ciała — a także jako wyraz wyrazistości nadprzyrodzonej, w której kryje się megalicka tajemnica Boga żywego — dostatecznie nam wyjaśnia, na jakie rasy i podwonne skały możemy tu natrafić. W chwili Przemienienia trzej apostołowie rażeni zdumieniem zakrywają sobie twarze; zaledwie ośmielają się rozpoznać swego

Przyjaciela w owej wspaniałej istocie; w podobnym położeniu, choć w sposób skromniejszy, znajduje się każdy, kto porzuca się na odmalowanie Jezusa; wcielony Bóg przyświecający poprzez człowieka raz i jego olśnione oczy.

Nie może więc być mowy o usiłowaniu odmalowania Jezusa integralnego, ponieważ jedna część Jego istoty nieodłączna od drugiej zupełnie się nam wymyka. Będziemy się więc starali ustalić Jego rysy człowiecze, ograniczając się do tego, by usiłować zbadać, co On sam w swej ludzkiej świadomości sądził o własnym Bóstwie. Ale już i wysiłek uchwycenia w Nim stosunku istoty Boskiej do istoty ludzkiej jest przedsięwzięciem prawie że niemożliwym; kilka rzadkich wskazań, parę zaledwie naszkicowanych rysów nie zaprowadzi nas daleko po tej ciemnej drodze. Bo gdyby ona była dla nas dostępna, wcielenie przestałoby być tajemnicą, a tajemnica Trójcy Świętej stałaby się jawna.

Do tych trudności, z których wiele jest w ogóle nie do przezwyciężenia, dołączy się jeszcze trudność następująca: Ewangelia nie jest traktatem psychologicznym, tak samo jak nie jest — w technicznym tego słowa znaczeniu — historią. Święty Mateusz, święty Marek, święty Łukasz i święty Jan pisząc, mieli inne cele niż uchwycenie i przedstawienie osoby Jezusa w całej jej oryginalności: Chcieli umocnić wiarę tych, którzy ich słuchali, chcieli także uczynić przekonywującym świadect-

wo, jakie tej wierze wystawiali. Zresztą ludzie ci nie byli ani teologami, ani dialektykami. A jak nie starali się o żadne efekty w zakresie prawdopodobieństwa estetycznego, tak samo nie usiłowali uporządkować rysów i danych dotyczących Jezusa! nie wygładzali przeciwieństw i zawiloci Jego charakteru. I rzecz zdumiewająca: przez to właśnie uczynili postać Jezusa tak żywą! Czyż nie postępowali tak, jak postępuje mistrzowski powieściopisarz? Bo powieściopisarz posługuje się zarówno tym co mówi, jak i tym czego nie mówi; w swoich analizach pozostawia on tajemnicze strefy, a czytelnik przeczuwa, że tu właśnie ukryte są najistotniejsze przeżycia. Nasi ewangelici nie byli pisarzami ani zręcznymi, ani wytrawnymi, a jednak może się wydawać, że oni także posługiwali się tymi właśnie przemilczeniami, tą tajemniczą ciszą, którą należy uszanować. Gdy chcemy zbyt tłumaczyć, zbyt porządkować, zamieniamy wspaniały obraz zawarty w Ewangelii w schematyczny i martwy rysunek, podobny do owych gipsowych figur, które szpecą tyle naszych kościołów. Nawet ludzki bóg utkany jest z przemieszania konkretnej obecności i tajemnicy, nieodłącznie z sobą splecionych, o ile bardziej odnosi się to do tego, w którym zawiła gra światła i cienia oznacza tę rzecz przedziwną: stosunek Stworzyciela do człowieka stworzonego.

„(Dzieje Chrystusa” Daniela Ropsa.)

Błogosławiony Pius X jako Biskup Mantui

„Tu i ówdzie można napotkać coś pocieszającego, ale na ogół widzi się rzeczy przynębiające” — pisał Mgr Sarto (przyszły papież i błogosławiony Pius X) w liście do jednego ze swych przyjaciół, po dokonaniu pierwszej wizytacji duszpasterskiej w świeżo objętej przez siebie diecezji. Diecezja mantuńska znajdowała się w warunkach zatrważających, gdy w kwietniu 1884 roku Mgr Józef Sarto przejął jej zarząd: ubóstwo i rozdział wśród duchowieństwa na skutek niedawnych wypadków politycznych, które oderwały Lombardię (półn. część Włoch) i Wenecję od Austrii, by przyłączyć je do młodego królestwa Italii; brak powołań kapłańskich, upadek wiary wśród wiernych z powodu braku dobrych kapłanów oraz szerzących się błędów starego liberalizmu i kielkującego radykalizmu. Obok duchownych niegodnych tego stanu, byli wprawdzie i kapłani wzorowi, lecz przeciążeni pracą, niedość liczni by sprostać obowiązkowi służby Bożej, by przezwyciężyć ogólną obojętność lub niechęć, które tak bardzo utrudniały pracę apostołską w społeczeństwie rządzonej przez wszechwładną wówczas masonerię.

* * *

Seminarium duchowne w Mantui zamknięte było od lat dziesięciu. W dwa miesiące po objęciu władzy biskupiej, Mgr Sar-

to przystąpił do pierwszych święceń kapłańskich: jednego zaledwie kapłana i jednego diakona. „To są te jedyne owoce, jakie mi przyniosło moje „Seminarium w tym roku. Co za bieda, jakże serce się ścisła, bo wszak potrzebnych mi jest co najmniej 40 kapłanów”. Nie tracąc ufności, nowy biskup zabrał się energicznie do pracy. Niebo i ziemię poruszył by skupić w swym Seminarium odpowiednich profesorów i alumnów o prawdziwym powołaniu, a także by zapewnić mu wystarczające środki materialne. Listem pasterskim i w kazaniach zaapelował zarówno do duchowieństwa jak i do ludu, do bogatych jak i do biednych, wzywając o dary i modlitwy. Sprzedał też swe własne dwa małe pola, jakie odziedziczył, by uzyskanymi pieniędzmi zasilić fundusze Seminarium. Wjaza góry przenosił. Pod koniec następnego roku Seminarium duchowne w Mantui liczyło już 147 alumnów, a datki nie przestawały napływać. Wierni zrozumieli od razu znaczenie tej instytucji, którą biskup nazywał „żrenicą swych oczu”, „sercem swego serca”, „oddechem swej duszy”.

I nie ograniczył się jedynie do odbudowy Seminarium diecezjalnego, ale śledził bacznie jego działalność dzień w dzień. Przybywał zniechęca na wykłady, przepitywał uczniów, przewodniczył przy egzaminach. Aby nakłonić kapłanów do dalszych stu-

dów, powołał do życia komisję, przed którą młodzi kapłani przez cztery lata po wyświęceniu obowiązani byli składać egzaminy z nauk zarówno teologicznych jak i świeckich. Co więcej, rozszerzył program nauczania w Seminarium i starał się o wyszukanie wybitnych profesorów. Wprowadził studium dzieł św. Tomasza z Akwinu do wykładów filozoficznych i teologicznych, zgodnie ze wskazówkami encykliki „Aeternis Patris” Leona XIII. Mgr Sarto posiadał sam głęboką znajomość Doktora anielskiego, czego dowodem konferencja (z czasów, kiedy jeszcze był kanclerzem biskupa z Treviso) z jaką wystąpił na zjeździe duchowieństwa w Wenecji: jej przejrzysty i gruntowny tomizm wprowadził w zdumienie słuchaczy.

Bardzo leżała na sercu biskupowi Sarto sprawa wizytacji każdej ze 164 parafii. W ciągu dwu lat udało mu się wejść w osobisty kontakt z każdym ze swych księży diecezjalnych a także i z wiernymi.

Niechętny wszelkim zewnętrznym manifestacjom na jego cześć, przybywał do parafii bez rozgłosu, wcześniej rano, udając się od razu do kościoła, gdzie zajmując miejsce w konfesjonale, pozostawał aż do chwili rozpoczęcia Mszy św. W kazaniu witał zebranych wiernych, wyjaśniał Ewangelię przypadającą na dany dzień, bierzmował, udzielał wskazówek dotyczących obrzędów kościelnych, szczegółowo badał stan kościoła i kaplic, wglądał do rejestrów i archiwów parafialnych, a wreszcie odwiedzał rodziny, udając się z domu do domu; wizyty te przedłużały się szczególnie u chorych i ubogich, gdzie zawsze udzielił jakiejś pomocy, w sposób dyskretny, z dobrotliwym uśmiechem. Surowo zakazywał wystawnych przyjęć, zadawałając się zwyczajnym skromnym posiłkiem u swych proboszczów, według prostych, zdrowych zwyczajów wieśniaków włoskich. Przy takiej okazji nie omieszkował oglądać i mieszkania proboszcza. A jeśli zdarzyło się, że dostrzegł na jakimś dziele liturgicznym, czy innej książce treści teologicznej grubszą warstwę pyłu, — wówczas bez słowa brał ją do ręki i przedkładał przed oczy księdza. Ten niemy wyrzut był dostatecznie wymowny. Przed wyjazdem z wizytowanej parafii, miał zwyczaj zwoływać jeszcze raz wiernych do kościoła, aby udzielić nauki katechizmowej dzieciom, a starszym wyłożyć którąś z doktryn wiary chrześcijańskiej. Następnie wygłaszał przemówienie pożegnalne, które w duszach słuchających pozostawiało niezatarte wspomnienie miłości i pokoju.

Ta pierwsza wizyta 164 parafii, trwająca z górą dwa lata, dała nowemu biskupowi możność bezpośredniego, żywego zaznajomienia się ze swą diecezją. Dała mu także możność poczynienia bardzo przykrych odkryć. Z Canneto napisał do swego przyja-

ciela, biskupa Padwy m. in. takie oto słowa: „Tutaj jesteśmy in partibus infidelium (w kraju pogan). Oto w parafii liczącej 3000 dusz na Mszy św. pontyfikalnej zjawilo się zaledwie 40 kobiet. Na naukę katechizmu zgłosiło się 100 dzieci i 100 ciekawskich. Tu i ówdzie można napotkać coś pocieszającego, ale na ogół raczej rzeczy przygnębiające.”

Nie ukończywszy jeszcze tej pierwszej wizytacji, biskup Sarto zwołał synod diecezjalny, aby wspólnie z całym swym duchowieństwem ustalić normy służby bożej odpowiednio do wymagań nowych czasów. Synod bowiem poprzedni odbył się jeszcze w XVII stuleciu, a więc w epokę, dla której szereg problemów z końca XIX wieku nie wchodziło jeszcze w rachubę. Na ten apel pasterza odpowiedziało 200 księży. Dzień 10 września 1888 roku dostarczył Mantui niezwykle widoku: oto wszyscy przybyli duchowni udali się procesjonalnie do katedry przy donośnym biciu dzwonów. Mgr Sarto celebrował Mszę pontyfikalną, a w kazaniu wyjaśnił tłumnie zebranej ludności cele synodu, prosząc o modlitwy w intencji owocnych wyników obrad. Na zakończenie synodu polecił wydać zestawienie zapadłych decyzji, celem jak najszerszego rozpowszechnienia w całej diecezji.

Zaledwie księża zdolali powrócić do swych parafii, gdy znowu otrzymali list

BEATYFIKACJA PIUSA X

W niedzielę 3. VI. br. odbyła się w watykańskiej bazylice św. Piotra beatyfikacja Piusa X. Poprzedniego dnia w sobotę, w obecności kard. Canali, przyniesiono procesjonalnie sarkofag ze zwłokami Piusa X do bazyliki i umieszczono go na ołtarzu papieskim. Uroczystości beatyfikacyjne rozpoczęły się w niedzielę o godz. 10 przy udziale ponad 50 tysięcy wiernych z różnych stron świata, nawet z Australii i z Ameryki Południowej. Do bazyliki wkroczył orszak kilkunastu kardynałów z kard. Tissierant, dziekanem kolegium na czele. — Zwracała uwagę łoża krewnych Piusa X. Ponad 150 biskupów brało udział w obrzędach. Przystąpiono do odczytania breve Piusa XII o cnotach heroicznych Piusa X i działań za jego pośrednictwem cudach: breve kończy się zaliczeniem Piusa X do rzędu błogosławionych. Wówczas archiprezbiter bazyliki, kardynał Tedeschini, zaintonował dziękczynne Te Deum. — Równocześnie rozwinięto arras, przedstawiający nowego błogosławionego i odsłonięto sarkofag zawierający jego zwłoki. Wywołało to ogromne wzruszenie obecnych, wśród których wielu pamiętało jeszcze Piusa X. Potem kard. Tedeschini odmówił pierwszą modlitwę („oratio”) do bł. Piusa X i następnie odprawił pontyfikalną Mszę św. ku jego czci. W godzinach popołudniowych trumne ze zwłokami błogosławionego papieża ustawiono na ołtarzu wzniesionym na placu przed bazyliką, zapełnionym przez tysiące wiernych. O godzinie poł. do piątej przybył Pius XII, aby oddać hołd Piusowi X, jednemu ze swych poprzedników na stolicy św. Piotra. Papież wygłosił przy tej sposobności przemówienie na temat cnot i zasług bł. Piusa X i udzielił apostolskiego błogosławieństwa.

pasterski zawiadamiający ich o drugiej wizytacji. „Nie przeczę, że ta nowa wizytacja będzie dla was jak i dla mnie nowym trudem, ale wystąpiliśmy w stan kapłański po to, by wieść życie wygodne? Trzeba nam pracować, pracować, to nasz pierwszy obowiązek.”

We wszystkich poleceniach pasterskich biskupa Sarto dominujące miejsce zajmuje sprawa nauczania katechizmu, „dzieło ponad wszystkie dzieła”. W związku z tym wydał on surowe i szczegółowe zarządzenia: wykladać we wszystkie niedziele i święta nakazane katechizm dzieciom, a z ambon katolicką naukę wiary dorosłym; podczas Adwentu i Wielkiego Postu przygotowywać dzieci do spowiedzi i Komunii św.

Na pierwszym narodowym kongresie katechetycznym, który odbył się w r. 1880 Mgr Sarto przedłożył projekt — który został jednomyślnie uznany i w formie życzenia przekazany Stolicy Apostolskiej — prosto i popularnie ułożonego katechizmu, z pytaniami i krótkimi, zwięzłymi odpowiedziami, jednolitego dla całego Kościoła. Sam zrealizował to życzenie, kiedy w 15 lat później objął po Leonie XIII Stolicę Apostolską.

Mgr Sarto gorąco zalecał księżom jak najstaranniejsze przygotowanie się do wykładu katechizmu, przestrzegając przed zaniechaniem go z jakiegos powodu, choćby nawet zamiaru wygłoszenia kazania w innym kościele. „Proboszcz — mawiał — winien raczej wyrzec się błyskotliwych kazań okolicznościowych, które zwykle padają w próżnię, niż pozbawić ludu nauk dogmatycznych, a dzieci katechizmu”.

Wiele też leżała na sercu biskupowi Sarto świętość kapłana, bo w niej zawiera się tajemnica jego pracy apostolskiej. — „Wszędzie, dokąd udaje się ksiądz, niechaj ani na moment nie przestaje być księdzem”. Dużą wagę też przykładał do takiego zachowania się duchowieństwa, które by na zewnątrz ujawniało wewnętrzną godność. „Kapłan, który nie ma w sobie powagi większej niż człowiek świecki, naraża się na pogardę nawet ze strony tych, którzy być może czasem przyklaskują jego lekko-myślności. A z tej pogardy osobistej, ludzie ci łatwo przechodzą do pogardzania kapłaństwem, a nawet religią. Brak powagi łączy się bowiem z brakiem szacunku”. Główne swe myśli na temat tych zagadnień wypowiada później, już jako papież Pius X w liście zwróconym do ogółu duchowieństwa z okazji 50-lecia swych święceń kapłańskich.

(La Croix).

PIĘKNO ZIEMI POLSKIEJ

(Uwagi na temat ruchu krajoznawczego)

„Kto chce żyć wesoło, mile spędzać czas,
Niech się krajoznawstwem z nami zajmie
wraz.

Wnet odzyska humor, zniknie smutku iza
I powie, że życie wielką wartość ma!”

Nasza Ojczyzna, Polska zawiera w sobie niewyczerpane zasoby zarówno materialnych wartości skarbów przyrody rozmaitych dzieł rąk ludzkich jak również nieocenione w dziejowym rozwoju ludzkości walory kultury duchowej, dobra kulturalne i pomniki historii naszego narodu. To wszystko musi poznać człowiek, zamieszkujący swą ziemię ojczystą, powinien poznać i pokochać.

Tą drogą bowiem możemy ocenić wszystkie walory i skarby naszej ziemi rodzinnej, poznać ją dokładniej i zrozumieć jej cechy i wartości.

Czy my znamy jednak dobrze swą ziemię ojczystą? Czy naprawdę znamy jej szeroko-

i rozległe tereny, od szafirowych fal Bałtyku po szczyty Karpat i Sudetów? Czy znamy te ziemie, które jakże dobitnie przemawiają do nas swym urokiem, oddziaływają pięknem rozmaitych krajobrazów, bogactwem i czarem przyrody, wielkością dzieł ludzkich i daleką perspektywą historii, jej pamiątek i obrazów, siłą i mocą pulsujących warsztatów pracy?

Niestety trzeba nam jasno powiedzieć, że nie znamy. I to nie tylko nie znamy wielkich i różnorodnych obszarów Polski, lecz także często nie znamy nawet najbliższej swej okolicy, i nie rozumiemy zjawisk, zachodzących na tym terenie, nie interesujemy się jego dziejami, nie umiemy czytać jego pamiątek i wczuć się w puls i życie najbliższej, naszej okolicy.

A przecież widzimy codziennie i może nie zwracamy uwagi, nie doceniamy wartości, jakie spotykamy w zabytkach, starych kościołach, kapliczkach, perełkach naszej rodzimej, polskiej sztuki ludowej. Widzimy, lecz nie rozumiemy, nie znamy wartości i znaczenia tego, co kryje w sobie teren naszej wioski, lub miasteczka.

Każda wioska bowiem i miasto ma coś takiego, co może nas z punktu krajoznawczego zainteresować. Temat krajoznawstwa jest bardzo obszerny i rozległy. Tematem krajoznawstwa są zwyczaje i obyczaje, które zachowały się i dotąd istnieją po wsiach i lud nimi żyje. Trzeba nam zobaczyć, jak wieś obchodzi „Andrzejkę”, w czasie świąt Bożego Narodzenia urządza jasełkę, chodzi z szopką, lub turoniem, z gwiazdą, koledując przytem, śpiewając piękne pastorałki i pieśni o motywach oryginalnych, rodzinnych. W czasie świąt Wielkanocy pali Jodasza, wykonuje palmy i grzechotki, w czasie Zielonych Świąt pali sobótki.

W każdej wsi napotkamy mnóstwo opowiadań i legend o powstaniu wsi, starych domów, o ufundowaniu kościoła, kapliczek, o starych dworach, zamkach itp.

Należy zwrócić też uwagę społeczeństwa na wartościowe zabytki, z pośród których wyszukiwać i co ważniejsze należyą opieką ochraniać należy prawdziwe perełki naszej polskiej kultury narodowej, naszej polskiej sztuki i architektury. Trzeba baczną uwagę zwrócić na nie, ratować je od zniszczenia i zagłady, by ocalały i świadczyły o naszej kulturze, a nie zanikły bezpowrotnie do czego żadną miarą dopuścić nie możemy.

Przechodzimy czasem obojętnie wobec niektórych przedmiotów, co do których nie przypuszczamy może nawet, jakie cenne są i drogie. Spotykamy je bowiem codziennie i już tak jakoś przyzwyczailiśmy się do nich, nie doceniając ich czasem bezcennych walorów.

Są to przeważnie okazy sztuki ludowej, jak rzeźby, obrazy, wyroby z gliny, metalu, piękne sprzęty ludowe, skrzynie malowane, stroje ludowe, a wszystkie te rzeczy posiadają bogactwo pięknych wzorów, haftów, ozdób.

W kościołach naszych widzimy bezcenne dzieła sztuki ludowej, obrazy, rzeźby, chrzcielnice, monstrancje, księgi, ornaty, epitafia, malowidła.

Trzeba te rzeczy widzieć, trzeba je poznać i należy je cenić, najważniejsza jednak rzecz, trzeba je ochraniać.

Nie należy zapominać, że zasadniczym zadaniem ruchu krajoznawczego jest poznanie własnego kraju ojczystego, zbieranie wiedzy o środowisku, rozbudzanie miłości do ziemi rodzinnej. Krajoznawstwo łączy się ściśle z ruchem, który nazwać można regionalnym, a którego celem jest wydobywać z poszczególnych krań geograficznych, względnie ziem Polski ich wartości w dziedzinie kulturalnej, gospodarczej i ludnościowej.

Jeśli zatem ruch krajoznawczy ma spełnić ważne swoje zadania, to musi przede wszystkim dążyć do poznania i zrozumienia własnego środowiska społecznego. Krajoznawstwo jest zatem ruchem kulturalno-społecznym i na tym właśnie polega jego specyficzna wartość wychowawcza.

Krajoznawstwo spełnia też bardzo ważną rolę społeczną przez to, że łączy wieś z miastem i odwrotnie uczy mieszkańca miasta cenić duże wartości kulturalne naszego ludu, jego oryginalną twórczość, jego pracę i trud.

W środowiskach robotniczych uczy krajoznawstwo patrzeć na warsztaty pracy ludzkiej, nie jako na coś innego, odrębnego, względnie interesującego, lecz jako na pola pracy, na których wykuwa się siła i bogactwo kraju, jego przyszłość.

Krajoznawstwo to czynny i pozytywny stosunek do przyrody, polegający na pozna-
nowaniu jej i ochranianiu od zniszczenia.

Czynem karygodnym bowiem jest niszczenie i zrywanie szarotek, krokusów, niszczenie modrzewi, limb, zabijanie zwierząt chronionych itp.

Krajoznawstwo to nie tylko poznanie swego kraju, jego różnych dzielnic i okolic, lecz przede wszystkim umiłowanie a co za tym idzie zrozumienie ciążących na nas obowiązków wobec kraju i społeczeństwa.

I dlatego krajoznawstwo ukazując nam piękno różnych regionów Polski, uczy nas równocześnie pracy dla dobra własnego kraju, dla jego rozkwitu i przyszłości.

A ziemia polska to rozległe horyzonty, które ona wędrowcy ukazuje. Ziemia polska to bogate i różnorodne regiony geograficzne górskie, nizinne, jeziorne, nadmorskie, wyżynne, leśne. To wspaniałe zabytki, śliczne kościoły, zamki, dwory, zaciszne wioski, gwarne miasta, wielkomiejskie ośrodki przemysłowe, ruchliwe porty morskie, zdrojowiska i letniska. To warsztaty pracy człowieka, kopalnie, huty i fabryki, pracownie i szkoły.

W tych geograficznych regionach Polski krąży się piękno i czar. Region górski, to obraz niebotycznych, gór śniegiem pokrytych szczytów i turni, zielonych lasów i hal, górskich chat i podhalańskich kościółków.

(Dokonczenie na str. 219)

Błogosław wioskom naszym

Metaliczny brzek kosy opadł w polną ciszę —
Zniwa. Wiatr dziką gruszę na miedzy
kołysze.

Prósząc zapachem kłosów słońcem
wybielonych.
Pola moje bezkresne, bądźcie pozdrowione.

Wiejską muzyką serca... Drabiniastym
wozem.
Rżeniem koni. Świergotem ptasząt.

Bądźcie pozdrowione modłiwym
Światłem zorzy.
westchnieniem.

Pola moje bezkresne — zbliżone
wspomnieniem,
Do chwil, które nie wrócą z dziecięcej
radości.

Boże, błogosław wioskom Twą szczerą
miłością
I daj nam płon obfity. Niech z strzelistych
kłosów

Dziękczynną pieśń, uniesie w błękitne
niebiosza

Wiatr — darząc wioskę naszą słoneczną
pogodą.

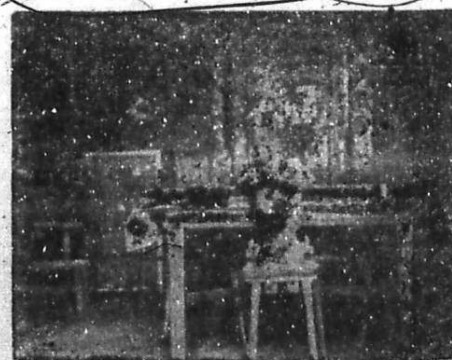
Zniwa. Brzmi pieśń wesela. Szumi śpiewna
młodość.

Skrzypią wóz na drogach, drabiniaste
wozy.
Błogosław dziś wioskom, pracy naszej Boże.

Niech zapełniają się śpichrze bogactwami
plonu.

A każdy dzień Twym Imieniem niech
będzie pochwalony.

Józef Baranowski.



Wnętrze chaty podhalańskiej.

SZKARŁATNA RÓŻA

(św. Elżbieta 1207—1231)

Św. Elżbieta węgierska (1207—1231)
 córka króla węgierskiego Andrzeja II
poślubiła landgrafa turyngijskiego i
heskiego. Mieszkała na zamku w
Wartburgu w pobliżu Eisenach.

* * *

Szarość nieba wisiała nad miastem
Eisenach. Śnieg padał gęstymi i szybko
topniejącymi płatami, mieszał się z błotem
ulic, pokrywał białą dachy, wieże i zębate
mury otaczające zamek landgrałów w
Wartburgu.

Joanna siedziała tego zimowego ranka
1224 r. w swej zasobnej komnacie wygrze-
wając się przy trzaskającym ognisku. Pa-
trzyła na grę skaczących płomieni i prze-
ciągając się raz po raz dłonią po wychu-
dziej twarzy, myślała o rzeczach smutnych:
o tym, że chociaż młoda jest bezsilna i cho-
ra, i że lekarze jej nie pomagają. Cóż z tego,
że rodzice i znajomi wciąż ją pocieszali.
Z początku wierzyła ich słowom, czekała,
była ufna, lecz teraz czarne myśli przy-
gniotły ją do cna. Zwątpiła. Miała wstręt do
swoich woskowych już jakby nie żyjących
rąk, do swej parę miesięcy jeszcze jak uro-

czej twarzy, także do błądźliwej i ciąglej nie-
mocy. Półki żyła nadzieją, wszystko dało się
znieść, ale nadzieja jak wiosenna woda,
czasami się wznosi, porywa i szumi, a cza-
sem opada. Obecnie wyszło jej źródło.
Joanna przestała komukolwiek wierzyć, na-
wet rodzicom, nawet Arnolfowi o serdecz-
nych oczach, który ją często odwiedzał. On
także, albo się ludził, albo kłamał mówiąc
o wyleczeniu. Nie, nic jej nie pomoże, ku-
racja, leki, nawet obietnica Arnolfa. Jej
ciało zwiotczało, siły ją opuściły, krzyż tak
strasznie boli, że całymi nocami nie jest w
stanie zasnąć.

Zmęczona długim siedzeniem wstała z
trudem z miejsca, położyła się na łóżku
i tam, z głową wspartą na stosie poduszek,
patrzyła na różowiejące obłaskiem płomieni
sklepienie. I znowu myślała o tym, że jej
los jest straszny, że ma dziewiętnaście lat
i jeszcze niedawno temu była całkiem zdro-
wa. W tej chwili przypominał jej się ubie-
gły rok w Eisenach i dzień, w którym po-
znała Arnolfa. Było ciepło, świat kwitnął,
a podgórskie miasto drwicało na cześć
księcia, którego ślub z Elżbietą węgierską
odbywał się w Wartburgu. Eisenach hu-
czało gwarem. Dokoła zamku widniały szpa-

lery cechowych sztandarów, lśniły się zbro-
je, błyszczała tęcza wspaniałych materii,
wstęp i pióropuszy. I wszędzie, skoro nad-
szedł zmrok płonęły na ulicach wesole
ognie radości.

Mieszkańcy Turyngii żyli w podnieceniu.
Rozprawiali bez przerwy o świeżozaślubio-
nej żonie księcia Ludwika, jedni wychwa-
lając ją, a drudzy dziwiąc się jej młodocia-
nej powadze. Utrzymywano ogólnie, że
piękna i pełna prostoty, niektórzy jednak
uważali, że nie ma dość zamilowania do
splendoru i dworskich igraszek, inni, że jest
przesadnie pobożna. Uważał to także i Ar-
nolf. Joanna pamięta jak jej wówczas po-
wiedziała:

— Nie szkoda to młodości tej ślicznej
Elżbiecie? Młodość odpowiedni czas na świat
i zabawę lecz nie na modlitwy. Czyż nie
uważacie, że ta węgierska pani, nie będzie
do ludzi?



Św. Elżbieta wspierała biednych.

— Myślę tak samo jak wy — odparła —
i bardzo się temu dziwię.

— Ja także — potwierdził młodzieniec,
spoglądając wesoło w jej oczy. — Zobaczycie,
że nasza młodość będzie całkiem inna,
radosna, pełna uciechy...

Chora przypominając sobie te słowa
przymknęła powieki. Warto jej było się lu-
dzić, wierzyć w swą przyszłość i szczęście.
Oto co miała z młodości: leży bezsilna, ocze-
kuje Arnolfa, a skoro przyjdzie patrzy mu
nieśmiało w oczy bojąc się, że odkryje w
nich już nie kochanie lecz litość.

Uczuła dojmujący żal w sercu i rozej-
rzała się z wolna po izbie jakby szukając
pomocy. Wtenczas pochyliła się nad dziew-
czyną matka, kobieta o szczupłej twarzy

PIĘKNO ZIEMI POLSKIEJ

(Dokończenie ze str. 218)

Region nadmorski, to szmaragdowe fale
Bałtyku, pieszczące złote nadbrzeżne piaski
i wybrzeża, to białe żagle na morzu, to pra-
ca rybaków i marynarzy i ich trud mozoł-
ny, to dostęp Polski do Bałtyku, szeroki
i wolny.

Region Pojezierza Mazurskiego, to prze-
piękna kraina błękitnych jezior, lasów i
łąk, to stare zamki i grody, a z poza ściany
drzew wylaniająca się sylwetka kościoła
w Świętej Lipce, klejnot ludności mazur-
skiej, to ziemia odwiecznych zmagają pols-
kiego żywiołu z germańskim naporem.

Region Mazowsza, to wielkie niziny i za-
dymione tereny żmudnej i ciężkiej pracy
robotnika, kryjące w swym łonie czarne
diamanty i olbrzymią siłę i moc, zaklętą
w pracy ludzi i maszyn.

Regiony Podkarpacia i Podosudecia, to
również tereny wyczerpanej pracy, to liczne
szyby naftowe, kopalnie soli, zakłady prze-
mysłowe i fabryki, to zielen podgórskich
krań, liczne miejsca wypoczynkowe, let-
niskowe i zdrojowiska, leczące chorych,
cierpiących, powracających do zdrowia.

Region Ziemi Lubelskiej, kraina czarno-
ziemu, kraina rolnicza, to złote łany psze-
nicy i zbóż rozmaitych, szerokie i wielkie
pola, które żywią i karmią.

Region Mazowsza, to wielkie niziny i za-
sady, to miejsca centralne Rzeczypospolitej,
gdzie bohaterka nasza stolica, jej miniona
wspaniała historia, jej boje bohaterskie i
zmagania, jej zmartwychwstanie i odbudo-
wa wielka i potężna — to moc i siła pol-
skiego narodu.

Polska, kraj piękny, kraina wielkich na-
dziei, wiary w lepszą przyszłość przyszłych
pokoleń, kraina, którą budujemy w co-
dziennym twórczym wysiłku, w codziennej
znoјnej pracy — to cel naszego poznania.

Każdy gospodarz, każdy robotnik musi
znać dobrze swą rolę, na której pracuje,
swoją warsztat, przy którym pracuje.

To są tereny jego pracy, to jego miejsca
trudu i osiągnięć. Nic zatem dziwnego, że
musi je znać, musi je rozumieć, by jego
praca odpowiednio wydała rezultaty.

Czy nie można odnieść tego do każdego
Polaka i Polki, którym przecież kraj ojczy-

sty, ziemia rodzinna, na której im żyć przy-
padło, nie mogą być obce, nie mogą być
nieznane. Jakżeż będą rozumieć swe zadania
względem państwa i swojego społec-
zeństwa, jeśli nie będą znać swego kraju,
jego elementów geograficznych, przyrodni-
czych, gospodarczych, społecznych, kultu-
ralnych. Tą znajomość swojego kraju reali-
zuje, daje nam ruch krajoznawczy, który
uczy poznawać, uczy obserwować, uczy nas
kochać i rozumieć.

Poznanie bowiem, pokochanie i zarazem
zrozumienie swego środowiska, a następnie
szerszego regionu, względnie regionów na-
szej Ojczyzny, to zasadnicza idea krajo-
znawstwa polskiego.

Starajmy się zatem poznawać piękno
Polski i w życiu codziennym, czasem na-
wet w małych sprawach zwracamy więk-
szą uwagę na tę ich stronę, która mówi
nam o wartościach kulturalnych, estetycz-
nych, społecznych, zbieramy wiedzę o śro-
dowisku, rozbudzamy miłość do kraju ro-
dzinnego!

Kto interesuje się tymi zagadnieniami,
komu idea krajoznawcza nie jest obcą, niech
bierze czynny udział w wycieczkach, które
organizuje Polskie Towarzystwo Turysty-
czno-Krajoznawcze, czy inne organizacje
i instytucje, względnie niech sam, jeśli bę-
dzie miał sposobność wędrować po kraju,
zobaczyć i poznać, a napewno korzyści
wielkie odniesie.

Przytym trzeba posługiwać się dobrymi
książkami i broszurami krajoznawczymi,
czytać pisma krajoznawcze, podróżować z
przewodnikiem w rękę, a przede wszyst-
kim rozbudzić w sobie żywą i nieprzemija-
jącą chęć i ochotę do poznawania swego
kraju, do rozszerzenia widnokręgu zainte-
resowań krajoznawczych.

A jeżeli także zainteresowania owładną
nami, to roztworzą przed nami szerokie i
piękne horyzonty, a dusze nasze rozjaśnią
bogactwem miłych wrażeń i szlachetnych
uczuć, a przytem ukażą nam wielkie i nie-
przebrane skarby, które tkwią w naszej
ojczyźniej skarbni.

Dr Tadeusz Prus Wiśniewski.

TYGODNIK KATOLICKI — Nr 24 — str. 219

i wielkim czepcu godnych turyngijskich mieszczek.

— Martwisz się, tracisz nadzieję — rzekła patrząc na nią czujnymi oczyma. — Ale to źle. Nie trzeba.

— Myślałam o moim życiu...

— O życiu, które może się zmienić Joanno.

— Kiedy? — szepnęła bladymi ustami córka.

— Z chwilą kiedy trafimy na dobrego medykusa, albo wróżbitę. O jednym nowym lekarzu mówił właśnie Arnolf. Podróżnik. Przyjechał z daleka i przywiózł z greckich wysp zioła, które uzdrawiają. Ponoć wystarczy obmyć schorzone ciało odwarem z tych liści, by odzyskać siły. Zioła to nie byle jakie, cenne z wyspy Nascos, takie, za którymi ubiegają się najmożliwiejsi ludzie. Trzeba je spróbować.

— Tak powiedział Arnolf?

— On sam — uśmiechnęła się matka — twój chłopiec... Poza tym — dodała ciszej i jakby nieśmiało — spotkałam niedawno Izentrudę, która jest pierwszą nadworną w Wartburgu... Ona także mówiła, żeby nie tracić nadziei. Wspominała o tobie księżnej Elżbiecie... Kto wie, może się za ciebie pomodli i może coś wskóra u Pana? Ponoć złączona wciąż z Bogiem, modli się, dobrze czyni ludziom, nigdy się nie wywyższa... Wszyscy mówią że święta.

— Księżna Elżbieta? — westchnęła Joanna. — Ach czyż ta szczęśliwa małżonka Ludwika Turyngijskiego będzie się o nią zapomniała trochę?

Podniosła się wolno na łokciu i spojrzała okienkiem na majaczący w wirującym śniegu ciemny zamek Wartburga. Jakby wspomniała i groźny. Pomyślała o Elżbiecie snującej się w jego wnętrzu i ujrzała ją taką jaką była w dniu swoich zaślubin: łagodną z przeźroczystymi oczyma, w złotej przepasce na czole i gorliwie pysznych, jasnych jak pszenica włosów.

— Zdaje mi się — rzekła Joanna ledwo dosłyszalnym głosem — zdaje mi się, że nikt chyba nie potrafi mi pomóc...

— Nie mów tak córko. Może właśnie Elżbieta, może zioła z Nascos.

Chora odwróciła głowę i dopiero po chwili odezwała się jakoby obojętnie.

— Ale co do tych ziół z wyspy, to owazem można się o nie zapytać.

— Arnolf miał ci do dzisiaj przynieść Joanno. Medyk mieszka pod miastem.

Księżna Elżbieta stała w swej dworskiej komnacie patrząc przez drobne szybki okna. Śnieg przestał padać, lecz świat tonął dalej w szarości.

— Pójdziemy na przedmieście — zwróciła się do swej wiernej Izentrudy. — Wezmę leki i jado, bo muszę iść do tego kaleki, któremu umarła żona.

— Żeby tylko jego dostojność księcia Ludwika o tym nie wiedział — zafrasowała się nadworna służka. — Nie lubi jak księżna chodzi po biednych... Mówi, że nie dostojnie wchodzić się po norach i że można się tam łatwo zarazić.

— O, ja wiem, księżna małżonek dba o sznór, jest dla mnie najlepszy — skinęła głową kobieta. — Tak, ale w tych rzeczach nie mogę go słuchać.

— Całe szczęście, że wyszedł — zauważyła służka. — Inaczejby się gniewał.

— To też nie trzeba mu o tym opowiadać — zaśmiała się księżna i położyła palec na ustach. — Sza.

— A jak doniosą dworzanie?

— Nie bój się. Włożę płaszcz z kapturem, który dostałam od ojca Franciszka z Asyżu, i kaźden pomyśli, że mam miszkę. Ty także Izentrudo nie ubieraj się godnie.

— Z księżną nie ma rady, gdy idzie o niebezpieczeństwa — żartowała pocziwie dziewczyna. — Nie słucha nawet małżonka.

— Tak, ale tylko w tych razach — odparła żywo Elżbieta, przy tym uśmiechnęła się w myśl do umiłowanego Ludwika, któremu nie potrafiła otworzyć dotąd oczu na wiele ludzkich spraw. Trudno będzie cierpliwa, może kiedyś przejrzy...

Kobiety nie rozmawiały dłużej o zamierzonych wyprawie i opuściły zamek. Wyśliznęły się boczną furtą, poczym przebywszy zrzuceniu ponad fosą most, stanęły na drodze prowadzącej do jednej z miejskich bram. Księżna ze spuszczonej na oczy kapturą, czuła się szczęśliwa jak ptak na wolności, swobodna i niepoznana. Jakże radośnie było jej przepadać wśród tłumu, należeć do niego, być jedną „z wielu kobiet“, a nie odległą księżną ogrodzoną murem od prawdziwego życia. Kochała ludzi, widziała w nich nie służalczych poddanych, lecz braci, znała ich prawa, potrzeby i częstokroć nędzę. Mimo miłości do księcia Ludwika, zdarzały się też coraz częściej chwile, w których korona Turyngii ciążyła jej młodziutkiej głowie. Była służką Chrystusa, rozumiała swą odpowiedzialność, unikała chwały.

Tymczasem obie kobiety szły w stronę, gdzie mieszkał opuszczony kaleka. Wiatr ustał. Elżbieta przystanęła wśród cichości świata, spojrzała nie na miasto, lecz na wzgórza pokryte świerkami i rozsiadłe za polem lepianki. W tej samej chwili rozległ się na zakręcie drogi tętent, i zobaczyła jeźdźcę w towarzystwie giermka.

— Księżę — szeptała cofając się Izentruda.

— Księżę we własnej osobie.

Pani na Wartburgu zaciągnęła jeszcze głębiej kaptur i chciała z miejsca zawrócić, lecz było za późno. Nie przydał się szary franciszkowy płaszcz. Ludwik poznał w mgnieniu oka szczupłą postać swej żony i dopadł do niej chybkiem susami wierzchowca.

— Ty Elżbieto, tutaj w tym przebraniu? — pytał — Dlaczego?

Spojrzała nań błagalnie nie mogąc wydobyć głosu ze ściśniętego gardła.

— Nie odpowiadasz? Mówie!

Zeskoczył z konia i szybko, gwałtownie, chwycił ją w swe ręce.

— Zostaw mnie miły, zostaw — rzekła wówczas cicho. — Wyszłam z zamku do bardzo nieszczęśliwego człowieka...

— Znowu do biednych — krzyknął. — Zakazałam. Pokażcie coś niosła.

Odwróciła szybkim ruchem poły obszernej płaszczy i wówczas padł na ziemię pęk woniejących świeżością pysznych szkarłatnych róż.

Teraz Ludwik się cofnął.

— Róże o tej porze? — szepnęła.

— Właściwie to był chleb — odparła nie podnosząc oczu. — Chleb dla kaleki. Nie gniewajcie się panie.

Nie, on się nie mógł gniewać. Spojrzał w twarz żony, która wydała mu się jasna i przejmująco skupiona i rzekł pochylając się do jej odzianych w grube obuwie stopek:

— To ty musisz mi wybaczyć bom grzeszny. A ty moja Elżbieto — dodał głosem nieswoim — tyś... Boża...

Gdy powstał, ujrzał w pobliżu nieznajomego młodzieńca, który patrzył na Elżbietę z takim wyrazem, jakby się do niej modlił.

— Wybaczyć mi — rzekł wielce zmieszany. — Wychodziłem z domu na przeciwko i prawie niechcący zobaczyłem cud... Czy mogę prosić o łaskę? Mogę zabrać róże?

— Dla kogo? — spytała księżna.

— Dla chorej... bardzo chorej osoby... taki kwiat może być dla niej lekiem.

Zagadkowy uśmiech przemknął po twarzy kobiety.

— Nikomu nie można tego zakazać — odparła. — Niech Bóg wspomaga waszą biedną chorą.

Od dwóch dni róża świeciła purpurą w zaciśniętym pokoju Joanny. Dziewczyna siedziała teraz ze złożonymi na kolanach rękami i mówiła patrząc na Arnolfa.

— Wiesz, to nadzwyczajne, czuję się coraz silniejsza i nic mnie już prawie nie boli.

Spojrzał bez słowa na szkarłatną różę.

— Tak, ona to sprawiła — rzekła w zamysleniu uleczona. Poszedłeś po leki z Nascos a przyniosłeś kwiat.

Zamilkł oboje, po czym zapytał:

— Pamiętasz Joanno jakieśmy rozmawiali o księżnej-Elżbiecie w dniu jej zaślubin? Mówiliśmy, że nie jest chyba do ludzi...

— A teraz już wiemy — uśmiechnęła się.

— Nie tylko jest do ludzi, ale ich wybawia.

— Bo święta — odparł młodzieniec.

Pła Górka.

C Ó R K I

Szymański Jerzy zamyślił się głęboko. Był to starszy, siwy człowiek, o dobrej, ludzkiej twarzy i łagodnych oczach. Od szeregu tygodni niepokoił go problem, którego nie umiał rozwiązać. Wreszcie postanowił. Oczywiście, to będzie najlepsze.

Siadł przy biurku, wyszukał listowy papier, pomyślał jeszcze chwilę, uśmiechnął się do czegoś i począł pisać.

Kochana Helciu!

Dziwne są koleje życia ludzkiego. Człowiek nigdy nie wie, co mu najbliższa przyszłość przyniesie. Wiesz dobrze, że przyszłość miałem aż nazbyt dobrze zapewnioną. Cały dorobek życia mego i jak wiesz sama dorobek niemały, ulokowany był w dobrze idących i przynoszących niemałe zyski przedsiębiorstwach.

Niestety. Nieuczciwość ludzka spowodowała na przedsiębiorstwa, w których umieściłem moje kapitały, całkowity krach. W jednej chwili z człowieka bogatego stałem się nędzarzem, bez przyszłości, bez zaopatrzenia na dalsze lata.

Jestem całkowicie załamany. Nie wiem, co począć ze sobą. Wyczerpany nerwowo, nędzarz, człowiek zmęczony życiem, poprostu ruina ludzka; jedyną nadzieję pokładam w Was dzieciach moich. Na Wasze wychowanie i wy-

kształceniełożyłem, ile było trzeba, nie żałowałem Wam niczego, dawałem i Wam zawsze majątek mój i serce moje. Jestem przekonany, że nie opuścicie mnie teraz, gdy ciós uderzył w starca, Waszego ojca.

Tobie Helciu najlepiej się wiedzie ze wszystkich moich córek. Masz wygodny dom i dochody nie małe, myślę, że staruszek ojciec nie będzie dla Ciebie ciężarem. Zabierz mnie do siebie. Będę Ci bawił wnuczęta i cichutko przy Tobie dojdę do kresu dni życia mego. Sądzę, że już ich niewiele zostało po wydarzeniach ostatnich.

Czekam, kochana Córkę, na wiadomość od Ciebie i powoli już pakuję moje rzeczy, by jak najprędzej wyjechać z mego smutnego domu, gdy mnie zawiadomisz.

Twój, kochający Cię ojciec.

Podobnej treści wysłał cztery listy. Miał cztery córki. Napisał do każdej. Niecierpliwie czekał odpowiedzi. Ogromnie był ciekaw, jak też przyjmą one wiadomość, którą wysłał i jak zareagują na prośbę starego ojca.

Dzwonek. Otworzył. Listonosz.

— List, proszę pana.

— Bardzo dziękuję.

Obejrzał dokładnie.

Od Helci. Odpisuje pierwsza. Zawsze do-
bre było dziecko.

Wziął nóż, rozciął kopertę. Począł czytać.
Najdroższy Tatusiu!

Co za nieszczęście uderzyło w Ciebie!
Tyle kapitałów stracił odrazu, w jed-
nej chwili! Rozumiem Twoje położenie
w tej chwili. Musisz się strasznie czuć.
W kilku chwilach z zasobnego człowie-
ka stać się biedakiem, to prawdziwa
tragedia. Serdecznie z Tobą współczuję.
Najdroższy Tatusiu! Niestety, odnośnie
do propozycji przyjazdu do nas, by spe-
dzić u nas resztę życia, sądzę, że lepiej
Ci będzie może zwrócić się do Staszki,
Ewy, czy nawet w ostateczności do
Józki. Nie chcę Ci mnie źle zrozumieć, że
odtrącam od siebie starego ojca w cięż-
kim położeniu. Co nie, to nie. Z całej
duszy rada bym Cię widzieć przy sobie,
ale wiesz, u nas są dzieci drobne, nie
będzie Ci dobrze, a Tobie po przejściach
tak ciężkich potrzeba spokoju i ciszy.

Poza tym są trudności z domem, gdy-
byś przyjechał nie mogłabym Ci dać
odpowiedniego pomieszczenia. Wiesz,
Romek pracuje, musi mieć wygodę, po-
trzebna mu kancelaria. Po głębszym
rozważeniu sprawy doszedłem do przeko-
nania, że np. u Staszki znajdziesz sta-
nowczo lepsze warunki. Idzie mi nie
o mnie, tylko o Ciebie. Chciałabym, byś
resztę dni Twego życia spędził napraw-
dę w warunkach jak najlepszych, byś
miał spokój, ciszę i odpoczynek. Ponie-
waż tego u mnie nie ma, napisz do Sta-
chy. Ona Cię kocha i jestem przekona-
na, że przyjmie Cię z otwartymi ra-
mionami.

Kochająca Cię Hela.

— Hm — mruknął cicho Szymański —
Hm. Więc to tak! Nie może! Byłoby mi nie-
wygodnie, ciasno, źle. Oczywiście idzie o
moje dobro. Taką to Helu, taką, a no, zo-
baczymy, co inne powie.

Nazajutrz przyszły dwa listy odrazu. Pi-
sała Staszka i Ewa, czytał niecierpliwie,
ciekaw treści.

Obydwa listy zawierały treść podobną do
listu od Heli. Mają trudności, dzieci, niewy-
gody itd., itd. Staremu ojcu będzie lepiej
u drugich. Inne napewno przyjmą go z o-
twartym sercem i otwartymi ramionami.

Zadumał się stary pan Szymański. Jego
dobre oczy patrzyły spokojnie w szybę
okna, pełne głębokiego zamyślenia. Już są
trzy listy od trzech córek. Różnica jeno
w słowach, treść i argumenty jedne, te sa-
me. Co tu dużo gadać: nie chcą go i koniec.
Została jeszcze Józka. Co też napisze ona?
Właściwie, gdyby odmówiła nie dziwiłby się
jej wcale. Tej wiedzy się najgorzej. Mąż
choruje, dzieci najwięcej, mieszkanie rze-
czywiście ciasne. Jeśli odmówiły tamte trzy,
którym lepiej, czegoż się można spodziewać
po tej?

Tego samego dnia przyszedł po południu
list od ostatniej, od Józki.

Ojcuzku Kochany, Najdroższy!

Nie smuć się stratą majątku. Prze-
padł, to przepadł. Przyjeżdżaj natych-

miast do nas. Wprawdzie ciasno u nas,
ale się pomieścimy wszyscy. Jestem o-
gromnie szczęśliwa, że będę miała Cie-
bie u nas. Moje dzieciaki cieszą się
także, że ich dziadzio przyjedzie i be-
dzie już zawsze z nami. Wystałabym do
Ciebie Kazia, ale teraz nie może, ma
jakieś swoje zajęcia, od których oder-
wać się nie może. Więc napisz Ojcuzku
kiedy przyjedziesz, ja z dziećmi
kupę, choć na stację wyjdę po Ciebie.
Zaznaczam, że rozkoszy u nas mieć nie
będziesz, ale dla Ciebie dałabym roz-
kroć serce na połowę, więc czym chęta
bogata z radością podzielę się z Tobą.
Przyjeżdżaj jak najprędzej. Oczeku-
jemy z tęsknotą i przygotowujemy od-
powiedni kącik, urządzimy go, byś się
czuł jak najlepiej.

Szymański skończył. Miał łzy w oczach.
Ręce mu drżały.

— Kochana ta Józka. Drogie dziecko. Ona
jedna otwiera dom i duszę dla starego ojca.
Niech jej Bóg za to błogosławi. Ona jedna
ma serce, choć w porównaniu z tamtymi
jest biedna. Ano nie pożałuje tego. Nie
pożałuje.

Twarc Szymańskiego wyrażała radość.
Problem, który go gnębił, rozwiązany jest
bez reszty. I to tak prosto. I tak bez reszty.
Dobra była myśl. Już wie ile która była
warta.

Siadł znowu przy biurku. Napisał trzy
krótkie listy do córek, które nie miały dlań
miejsca.

Kochana Helu!

Wiadomość moja o bankructwie i kra-
chu była fałszywa. Przeciwnie. Interesy
moje idą świetnie. Nie jestem nędza-
rzem. Chodziło mi o co innego. Czuję,
że zbliża się śmierć. Chciałem mój wiel-
ki majątek zostawić tym, którzy na to
zasługują. Napisałem listy do Was
wszystkich. Jedynie Józka odpowie-
działa sercem. Więc Wy trzy nie czujcie
do mnie żalu, gdy spadek dostanie Józ-
ka. Zasluguje w całej pełni na to tylko
ona jedna.

Pan Szymański zalepił trzy listy. Własno-
ręcznie zaniósł je na pocztę. Polecone, żeby
napewno doszły do miejsca przeznaczenia.
Uśmiechał się przy tym swym dobrym u-
śmiechem. Oczy duszy widział córki czy-
tające listy od niego. — Mają na co zasłu-
gować. Kto nie ma litości dla ojca w chwi-
li ciężkich dla niego, kto mu odmówi kąta
i chleba, nie jest wart spadku, ani grosza,
ani szeląga. Wszystko dostanie ta, co oka-
zała serce.

Ogromnie szybko otrzymał trzy listy. Tłu-
maczyły się wszystkie: Przecie pragnęły
tylko jego dobra, z troski o niego wskazy-
wały inne siostry. Z ojcem podzieliłyby
ostatni kęs chleba.

— Zapóźno — mruknął pan Szymański. —
Zapóźno! Trzeba było prędzej. Wiem dzi-
siaj, co która warta. Wiem już dobrze. Na
miano córki zasługuje tylko jedna Józka.
Wy sięgacie po majątek. Ale szkoda zacho-
du. Ani szeląga. Nie zasługujecie. Nie macie
serca.

(R. A.)

— Może ks. dziekan będzie łaskaw ucze-
lić nam parę informacji do Tygodnika?

Dziekan trochę się zachnął, trochę się za-
wahał, ale nasze pióro już było w rękach.
Kto wpadnie w nasze ręce trudem musi się
wycofać. Bronił się jeszcze trochę.

— Tak niespodziewanie, tak nagle, nie
jestem przygotowany na wywiad. Boję się
nieścisłości.

— Nam idzie o migawkę. Nie piszemy hi-
storii, chcemy uchwycić garść życia, zresztą
prosimy kapitulować i choć parę słów o
swoich parafianach i kościołach.

Niech już będzie. Bóg świadkiem nie
oholalem.

Dowiadujemy się, że ks. dziekan jest w
parafii od 1. VIII. 1946 r. Był pierwszym
kapłanem polskim na swoim terenie. Para-
fia liczna i ciężka do obsługi dla jednego
kapłana. Dusz około 6 tysięcy. Poza kościo-
łem parafialnym są jeszcze do obsługi ko-
ścioły w Szczecinie-Skolwinie i Porzeccinie. Co
niedziela są trzy Msze św. W Glinkach i
Skolwinie są stałe, w Porzeccinie w miarę
możliwości.

Kościół parafialny poprotestancki. Wy-
budowany w r. 1727, wojną częściowo uszko-
dzony (brak tam szyb, poodbijany tynk itp.)
Wewnątrz tylko ołtarz i ławki, poza tym
niczego.

Nasi wzięli się do roboty od samego po-
czątku. Dziś warto na kościół popatrzeć.
Z zewnątrz poszarpany. Wewnątrz odmalow-
wany, dwa nowe boczne ołtarze, dwa kon-
fesyjonały, całe komplety naczyń i szat litur-
gicznych, 6 chorągwi, 2 feretrony. W ko-
ściele czynne są trzy głośniki i 2 mikrofony.

— A ludzie?

Ks. dziekan aż pojaśniał, gdy zapytałem
o parafian.

— Dla moich ludzi mam pełne uznanie.
Dzielny naród. Oby mi do śmierci Bóg dał
takich parafian, jakich mam dzisiaj.

— Skąd się wywodzi?

— Z całego świata. Mam nawet z Chin,
Mandżurii i Indii. Są z Francji, Belgii, Nie-
miec i ze wszystkich stron Polski. Element
bardzo płynny, przyjeżdżają, odjeżdżają.
Ale chwale ich sobie. Nasz polski robotnik
wart jest pochwały. Mało takich dzielnych
ludzi na świecie.

Życie religijne pogłębiły misje od 9—17
września 1950. Prowadzili je Redemptoryści
z Torunia. Frekwencja była wielka. W r.
1949 odbyło się poświęcenie parafii Najśw.
Serca Pana Jezusa. Postawiono pomnik
Serca Pana Jezusa z cementu przed ko-
ściołem. Na cokole umieszczono tablicę z na-
pisem: „Pamiętka poświęcenia parafii
N. S. P. J.”.

Rekolekcje są co roku przez tydzień. W
tym roku były także. Dawał je ks. Siwek,
Jezuita.

— Co ciekawego jest w kościele jeszcze?

— Bardzo ciekawa jest ambona. Piękny
jest ołtarz. Tak ambona jak i ołtarz są
stare, pochodzą z któregoś z katolickich
kościółów.

Kościół filialny w Skolwinie jest nie-
wielki. Także poprotestancki. Dostosowano
go do potrzeb katolickich, przerobiono oł-
tarz główny.

Jest w nim drugi ładny ołtarz Chrystusa-
Króla.

Dziękuję ks. dziekanowi za łaskawie u-
dzieloną garść wiadomości dla Tygodnika.
Godzi się przecie, by na łamach naszego pi-
sma diecezjalnego — wspomnieć i o Szcze-
cinie-Glinkach.

— Serdecznie Bóg zapłać, księżo dziekanie.

— Było mi bardzo miło — mówi dziekan.
— Ale naprawdę nie byłem przygotowany
na coś podobnego.

— I poci przygotowanie? Aż nadto starczy
na pierwszy raz. Bóg zapłać i szczęść Boże
w dalszej pracy.

(G)

TYGODNIK KATOLICKI — Nr 24 — str. 231



SZCZECIN-GLINKI

O tej parafii nie pisaliśmy jeszcze nigdy.
Jakoś nie nadarzyła się okazja zebrania
materiału do artykułu. Dopiero ostatnio
zestknęliśmy się z ks. dziekanem i zarazem
proboszczem parafii Szczecin-Glinki, ks.
Domańskim Henrykiem.

Z pobytu XX Biskupów polskich w Rzymie

Kościół i świat

— **Czasopismo katolików duńskich** Kato-
licy duńscy, których liczba wynosi jedynie
kilka tysięcy, posiadają swe własne cza-
sopismo religijne. Nosi ono nazwę „Sinop-
skornid“, co w tłumaczeniu oznacza „ziarno
gorzycy“. Drukuje się je w parafii
Thorshaven, gdzie katolicy duńscy posia-
dają swą własną drukarnię.

— **Nowy kościół — i wierny.** W pewnej
wiosce japońskiej ukończono niedawno bu-
dowę kościoła katolickiego, jakkolwiek żyje
tam obecnie dopiero jeden katolik. Wyjaś-
nienie tego faktu jest bardzo proste: chrze-
ścijaństwo w Japonii zapoczątkowało swój
rozwoj w ten sposób, że wszyscy wierni są
zarazem apostołami wiary przez przykład
własnego życia, w szczególności akty miło-
sierdzia. Otóż katolik, zamieszkujący wspo-
mnianą wioskę, skupił koło siebie grupę
katechumenów, którzy poznawszy prawdę
wiary chrześcijańskiej, pragną przyjąć
Chrzest św. W ten sposób powstanie nowa
gmina chrześcijańska i na przyjęcie nowych
wiernych wybudowano kościół.

— **Bazylika św. Piotra** nie była pewno-
dotąd świadkiem tak wspaniałej manifes-
tacji, jaką był popis międzynarodowej fe-
deracji młodocianych chorów kościelnych,
wchodzących w skład Manecanterie à la
Croix de bois (Parafialnych szkół śpiewu
chóralnego pod znakiem Krzyża). Do Rzy-
mu przybyło cztery tysiące chłopców i śpie-
wało w czasie Mszy papieskiej pod batutą
świątecznego dyrygenta francuskiego C. Mail-
let. Największa na globie ziemskim świątynia
wyglądała, jak gdyby ją białe zasłazy
kwiaty. Młodociani śpiewacy przybrani by-
li bowiem w białe ubrania z czarnym dre-
wnianym krzyżem na szyi.

Czterotysięczny chór, w którym przewa-
żały srebrzyste soprały, rozpoczął prze-
potężnym hymnem Ave Maria Ludwika da
Viktoria, potem odśpiewano chorały Jana
Bacha, Mozarta, Palestriny, aby zakoń-
czyć pieśnią: Christus vincit, regnat, im-
perat! (Chrystus zwycięża, króluje, rządzi).

ców Pokoju — przewodniczący; Zofia Sta-
rowska-Morstinowa, członek kolegium
redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego“,
krytyk literacki; Rektor dr Tadeusz Lehr-
Splawinski, profesor Uniwersytetu Jagiel-
lońskiego, Wiceprzewodniczący Komisji In-
tektualistów i Działaczy Katolickich przy
Polskim Komitecie Obrońców Pokoju; dr
Kalikst Morawski, profesor Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego; Jan Dobraczyński,
literat; Janina Kolendo, kierownik In-
stitutu Wydawniczego „Pax“; Zygmunt
Lichniak, krytyk literacki, członek kolegium
redakcyjnego tygodnika „Dziś i Jutro“,
przyznało na rok 1951 nagrodę naukową
w sumie zł 4.500 ks. prof. E. Dąbrowskiemu
za pracę naukową w zakresie biblioteki a
zwłaszcza za przekład Nowego Testamentu.

Nagrodę literacką w sumie zł 3.750 Anto-
niemu Gołubiewowi za „Złe Dni“ (III i IV
część cyklu powieściowego Bol. Chrobry).
Nagrodę publicystyczną w sumie zł 3.750
Wojciechowi Kętrzyńskiemu za pracę pu-
blicystyczną w okresie powojennym, w
szczególności za cykl artykułów „Francja —
kraj misyjny“.

Nagrodę młodych w sumie zł 3.000 Zys-
muntowi Kubiakowi za twórczość w zatre-
sie essay'u i krytyki katolickiej.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się
dnia 17 czerwca br. w Warszawie.

**Następnie Jego Świątobliwość przy-
jął J. E. ks. biskupa łódzkiego.**

**Pobyt w Rzymie dwóch biskupów
potrwa jeszcze dwa tygodnie.**

Audjencia u Ojca św. była poprzedzona
dwukrotną wielogodzinną rozmową z mon-
signorem Domenico Tardini, pełniącym
obowiązek sekretarza stanu.

Odtaż można było często widywać bisku-
pów polskich w przydzielonym do ich dy-
spozycji przez Ojca św. aucie miasta waty-
kańskiego, zdążającym przez plac św. Pio-
tra do Sekretariatu Stanu. Prasa włoska,
która uważnie śledziła te przejazdy nali-
czyła około 9 dłuższych wizyt biskupów
polskich u monsignora Tardini.

Samochód ten zatrzymywał się również
w braminach gmachów różnych kongregacji
kościelnych, gdzie biskupi polscy odwiedzali
księży kardynałów, stojących na czele róż-
nych działów administracji kościelnej.

Wszystkie niemal kościelne instytucje
polskie miały możność, choćby krótko, go-
ścić u siebie polskich pielgrzymów, a więc:
Instytut Kościelny Polski, gdzie mieszkają
księża polscy, studiujący na uniwersytetach
papieskich; Kolegium Polskie, skupiające
kleryków polskich utrzymywane przez Ojca
św.; zgromadzenie polskie księży marnia-
nów, księży zmarłychwstańców, sióstr ur-
szulanek, sióstr zmarłychwstańców, sióstr
nazaretanek i inne.

Widziano też biskupów polskich 15 kwietnia
w Bazylice św. Piotra podczas uroczystości
beatyfikacji franciszkanina Francesco An-
tonio Fassani w stallach tuż w pobliżu Oj-
ca św. chociaż w charakterze prywatnym
bez strojów liturgicznych.

Dość często spotykano biskupów polskich
w bazylikach rzymskich, zwłaszcza u św.
Piotra, u św. Pawła za Murami, u św. Jana
na Lateranie, u Matki Bożej Włókszej, u św.
Cecylii, u św. Agnieszki i in.

Pożegnalna audjencia u Ojca św. miała
miejsce w piątek, dnia 27 kwietnia, w go-
dzinach przedpołudniowych. Miała charak-
ter prywatny i trwała około godziny.

Fakt, że biskupi polscy mogli spełnić
swoj obowiązek wobec Ojca św. i przybyć
do Rzymu, był bardzo pozytywnie oceniony
w kołach kościelnych i wywarł dodatnie
wrażenie w świecie politycznym. A zapewne
miał on i inne, niemałej wagi znaczenie dla
Kościoła katolickiego w Polsce, dla intere-
sów narodowych, dla układu stosunku mię-
dzy Kościołem a Państwem.

Biskupi polscy wrócili do kraju w dniu
3 maja w godzinach rannych.

(Za Tygodnikiem Powszechnym)

Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka

Dnia 23 maja br. odbyło się w Warszawie
posiedzenie Jury Nagrody Im. Włodzimierza
Pietrzaka, na którym jury w składzie: Ks.
prof. Jan Czuj, Dziekan Wydziału Teologii
Uniwersytetu Warszawskiego, Przewodni-
czący Komisji Intelktualistów i Działaczy
Katolickich przy Polskim Komitecie Obroń-

Opinii katolickiej w Polsce nie przestaje
interesować niedawna podróż ks. prymasa
Stefana Wyszyńskiego i ks. biskupa Mi-
chała Klepacza do Rzymu. Tym bardziej,
że zarówno prasa zagraniczna, jak i roz-
głoszenie radiowe wiele uwagi tej sprawie
poświęcały. Katolicka prasa tygodniowa w
Polsce ograniczyła się tylko do krótkich
notatek o wyjeździe, audjencji u Ojca św.
i powrocie do kraju. Te skąpe informacje
wiążą się zapewne i z tym, że nasi piel-
grzymi ad limina Apostolorum nie wypo-
wiadali się dotąd nigdzie na temat swej
podróży.

Spróbujmy ustalić — choćby dla wzglę-
dów historycznych — pewne fakty.

Podróż prymasa Polski była zamierzona
od dawna. Prasa zagraniczna gubiła się w
domysłach co do celu tej podróży, właśnie
dziś. Zazwyczaj doszukiwanie się skompli-
kowanych celów przysłania widzenie naj-
prostszych rzeczy. A jest przecież oczywistą
rzeczą, że głównym celem podróży każdego
biskupa do Stolicy Piotrowej jest złożenie
powszechnej czci Ojcu św. i uzyskanie odeń
błogosławieństwa dla pracy pasterskiej.
Chodzi też o złożenie sprawozdania ze stanu
religijno-moralnego diecezji. Ten więc cel
obok innych spraw musiał być istotny i w
obecnej pielgrzymce biskupów ad limina
Apostolorum.

Nie ma potrzeby przemilczeć, że przyjazd
biskupów polskich był niespodzianką dla
kościelnych rzymskich. A że i Watykan
przywiązywał wielką wagę do faktu przy-
jazdu, świadczy o tym obecność na dworcu
wysłannika Sekretariatu Stanu, monsignora
Luigi Poggi. Był to pierwszy człowiek, który
witał polskich biskupów w Rzymie i ostatni,
który ich w dniu 1 maja, w godzinach ran-
nych żegnał imieniem Sekretariatu Stanu.

Prasa zagraniczna podkreśla, że biskupi
polscy w Rzymie prowadzili żywot bardzo
pracowity i wskutek tego dość odosobniony,
zajęci byli całkowicie sprawami kościel-
nymi.

Jak wynika z komunikatu Osservatore
Romano biskupi byli przyjęci przez Ojca św.
już w poniedziałek dnia 9 kwietnia b. r.
w przedpołudniowych godzinach. Rozmowa
z Ojcem św. trwała łącznie przeszło 1 i pół
godziny. Prasa zwróciła uwagę na to, że
prócz zwykłej kronikarskiej notatki o au-
djencji, Osservatore zamieścił komunikat
specjalny treści następującej:

POBYT PRYMASA POLSKI W RZYMIE

Jak donosimy w dziale informacji,
dziś rano Ojciec św. przyjął na pry-
watnej audjencji J. E. ks. Stefana
Wyszyńskiego, arcybiskupa gnieźnień-
skiego i warszawskiego. Dostojny pry-
mas Polski, który został wyniesiony
12 listopada 1948 r. na starą stolicę,
nie był dotąd nigdy w Rzymie z wizytą
ad limina.

Ks. prymasowi towarzyszył w po-
dróży J. E. ks. Michał Klepacz, biskup
łódzki, oraz ks. Antoni Baraniak, se-
kretarz osobisty ks. prymasa.

Ojciec św. z ojcowską miłością przy-
jął dostojnego gościa, rozmawiając s
nim przez godzinę na temat sytuacji
religijnej w Polsce.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 36. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch“ Poznań, ul. Kantaka 8-9.
P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,30 zł, kwartalna 8,40 zł.

Wiosnowo w Włp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościelnie — 843 — a. 52.

K-2 — 17662 — 29. 2. 51. Druk ukończono 4. 7. 51.